



Rok VI.
Łódź, 21. IV. 63.
Nr 16 (268)
Cena zł 1.—

odgłosy

Tajemnice

ULICY-ZŁOZYŃCÓW

SŁAWOMIR
ORŁOWSKI



FELIKS BABOL

DZIEŃ MŁODEGO LEKARZA

Łódź
w jakiej
żyjemy

Motto:

Opowiemy co widzimy
i co wiemy — powie-
dzieli, i tak powstał ten
dziennik.

Jestem młodym lekarzem, jednym z 10 tysięcy, którzy ukończyli studia medyczne w Łodzi. To chyba duże osiągnięcie dla miasta, w którym żyje — te 10.000 młodych lekarzy. Niektórzy po-kończyli Akademię Medyczną, inni Akademię Wojskową. Rozjechali się po Polsce szukać szczęścia, nie-którzy tylko zostali w Ło-
dź, wielu osiadło na wsi, a z tych ostatnich większość ma już samochody, niektórzy się budują... Ale przecież za tę cenę stali się groszobor-
kami, zaniedbali wiedzę, a lekarz, który nie uczy się — zwłaszcza lekarz młody, nie mający kontaktu ze szpitalem czy kliniką — taki le-
karz po paru latach cieszy się co prawda z posiadania własnego wozu, ale w opinii znawców problemu staje się zwykłym konowalem...
Mam lat 26 i swą przy-
szłość pragnęłam związać z miastem, w którym żyję, w którym się wychowałam. Czy myślicie, że to takie proste? Może ten mój dziennik otwo-
rzy oczy tym wszystkim, którzy słowo „lekarz” kojarzą sobie bóg wie z czym, z łatwą karierą życiową i wy-



(brutto), ale nie to jest naj-ważniejsze. Najważniejsze jest, że w Łodzi nie można tak łatwo otrzymać rejestracji stałej. Mogę ją otrzymać do-piero za rok, ale i tak jedy-

ma przewiduje 10 minut na jednego chorego. Nie dziw-
cie się więc, że na rejonie robota jest właściwie taśmo-
wa, a korzyść z niej dla mło-
dego lekarza, który chce się
czegoś nauczyć — żadna. Bo
rejonu okupują przeważnie
emeryci, którzy przychodzą
niemal wyłącznie po przedlu-
żenie recepty i ludzie w
sprawie zwolnienia lekarskie-
go.

Niektórzy z tych ostatnich...
rzucają setkę i żądają za to
3 dni zwolnienia. Te „zwy-
czaje” na długo wytręciły
mnie z równowagi. Obrzy-
dlawy to moment — owe 100
-złotowe oferty ludzi, którzy
za wszelką cenę chcą mieć
zwolnienie i spokój w miej-
scu pracy, a przecież w zwi-
zku z tym mogłem pomyśleć:
„Czyżby powodowała to o-
pinia, że młodym lekarzom
się nie przelewa?” Może dla-
tego ludziom wydaje się, że
za 100 zł lekarz sprzeda
swą ambicję i sumienie?

nie na rejonie albo w pogo-
towiu.
W tym pogotowiu trzeba
jednak wytrzymać aż trzy
lata czekając na miejsce w
szpitalu. A jeśli ktoś nie ma
ochoty tkwić trzy lata na
internie (w pogotowiu), to
siedzi i kiśnie.

A jak jest na rejonie? W
rejonie pracuje się 7 godzin,
w ciągu których — zdarza
się — trzeba załatwić 50-60
pacjentów, chociaż nawet noc

LEKARZE SPECJALIŚCI

W 1961 roku mieliśmy w ŁODZI	
internistów	221
chirurgów	171
pediatrów	151
ginekologów	114
ftyzjatrów	61
dermatologów-wenerologów	42
psychiatrów	33
laryngologów	38
okulistów	38
kardiologów	35
neurologów	42

W tym samym roku o wiele mniejszy KRAKÓW miał
specjalistów 1053, a WARSZAWA z ludnością niecałe
dwa razy większą miała specjalistów prawie trzy razy
więcej — 2902.

Pierwsze miesiące po za-
kończeniu wojny dobrze się
daly Niemcom we znaki.
Stratą najbliższych, głodem
i niedzą placili za swoje
skłonności do panowania
nad światem. I za to, że
uwierzyli, iż ich fuhrer
podboju świata dokona. Cze-
kali na powrót najbliż-
szych. Bo też przez terytor-
ium Niemiec odbywała się
istna wędrówka ludów.
Przez była III Rzeszę prze-
pływały wielomilionowe tłu-
my Polaków, Rosjan, Fran-
cuzów, Włochów, Czechosło-
waków, byłych jeńców wo-
jennych, wszystkich niemal-
że nacji oraz więźniów o-
bozów koncentracyjnych,
którzy teraz, w kilka mie-
sięcy po zakończeniu woj-
ny, wracali do ojczyzny i
swych domów.

W tę wielojęzyczną rzekę
ludzką dali także nura
hitlerowscy zbrodniarze
wojenni i przyczalwszy się,
przeważnie zaopatrzeni w
fałszywe dokumenty, szuka-
li oalenia przed między-
narodowym wymiarem spra-
wiedliwości, który ich po-
szukiwał za zbrodnie, jak-
ich się dopuścili wobec
niewinnych ludzi. Dlatego
też w Niemczech nikt nie
dziwił się, jeśli ktoś otwo-
rzywszy rano drzwi od
swego mieszkania spostrzegł
nowego sąsiada.

Wkrótce po zakończeniu
wojny w miasteczku Hasen-
moor zamieszkał niejaki
Ralf Berger. Dokumenty
wskazywały, że jest robot-
nikiem rolnym, który pod-
czas zmagania wojennych u-
tracił dom i swoje mienie.
Sporo było takich jak on,
którzy teraz głośno „dzie-
kowali” nieżyjącemu fuhrer-
owi za to, że uczynił ich
nędzarzami.

Ralf Berger nikomu jed-
nak za nic nie dziękował
i raczej siedział w domu,
przejadając resztki niezna-
nej ludzkiej fortuny. Sąsia-
dów trochę dziwiło, skąd
biedny robotnik rolny bier-
ze pieniądze na utrzymanie
które wtedy kosztowało kro-
cie. Po kilku miesiącach
przyzwyczajono się do nie-
go i zaczęto go uważać za
swojego. Ralf Berger z cza-
sem zaczął też unikać sa-
motności i coraz częściej
wychodził na spacer lub na
„bombe” dużego piwa do
miejscowej gospody. Wkrót-
ce też miejscowi piwowos-
zyjęli go do swego grona.
Ten prosty robotnik rolny
imponował im swoją inte-
ligencją, czytaniem, zna-
jomością świata i polityki.
Często też zabierał głos
przepowiadając, że nieba-
wem alianci wezmą się za-
by o strefy wpływów w
Niemczech. Ze niby Zachód
z Rosjanami, a jak zaczął
mówić, to hasenmoorowscy
chłopi z podziwu aż gęby
otwierali. Ten niepozorny,
niski mężczyzna, zawsze
gładko wygolony, zczesany
do góry miał w sobie coś,
co wyróżniało go z tłumu
miejscowych wieśniaków.
Zza okularów patrzyły na

dalszy ciąg

na str. 9 i
10

ANDRZEJ BRYCHT

BICIE NA RATY

(Artykuł dyskusyjny)

Pan Nowak smutny cho-
dzi ulicami naszej pięknej
Łodzi. Jego głębokiej me-
lancholii nie rozprasza na-
wet fakt, że wolno mu w
sobotę wieczór i w niedzie-
łę udawać autobus na od-
cinku Piotrkowskiej od
Placu Wolności do Nawrot
(szkoda, że nie do Pabia-
nic) i pruć środkiem jezdnii.
Piękny to wprowadzić spo-
sób zwalczania kompleksów
motoryzacyjnych, ale pan
Nowak wolałby coś innego.
A co? A motocykl marki
„Junak”. Właśnie.

Cóż prostszego. Wystar-
czy mieć 24.000 złotych pol-
skich w śliskich brązowych
banknotach (48 takich od-
pieczków) i zamienić na
„malowego rumaka” — jak

twierdziły, że mogą nabyć
motocykl „Junak” na raty,
wpłacając na pierwszy
raz zaledwie 10% całej su-
my, więc po krótkim obli-
czeniu doszedłem do wnio-
sku, że mogę sobie na taki
wydatek pozwolić. Niedaw-
no zacząłem lepiej zarabiać,
więc raty miesięczne w wy-
sokości 900 złotych nie by-
łyby dla mnie kosmarem,
spędzającym sen z oczu. Na
pierwszą wpłatę, tzn. 2.400
zł, pieniądze przygotowa-
łem. Gdybym natomiast
chciał kupić motocykl za
gotówkę, to musiałbym
składać dwa lata. Więc
przekonałem się do ORSu.
Jednakże już w sklepie
„Motozbytu” powiedziano
mi, studiując moje zapłaty: —
„Wprawdzie na motocykl
„Junak” pierwsza wpłata
wynosi 10 proc. wartości,
ale nie wiadomo, czy ORS
udzieli panu kredytu na
pozostałą sumę, często bo-
wiem nie udziela, proponu-
jąc klientowi wpłacenie na-
wet 40 proc. z góry. Dalej
— nawet jeśliby ORS u-
dzielił kredytu, to zamiast
2.400 zł (10 proc. od sumy
24.000 zł) musi pan wpła-
cić w charakterze pierwszej
raty 4.412 zł, tzn. o 2.000
więcej, niż można było li-
czyć, sądząc po ogłosze-
niach prasowych. To dlate-
go, że dochodzą koszty u-
bezpieczenia i 5 proc. kosz-
tów manipulacyjnych ORS,
od sumy kredytowanej”.
Tu pan Nowak wyjął oło-

Dalszy ciąg
na str. 2

Fragment dziennika

poła stopa, a co najmniej z
samochodem. Co do mnie
samochodu nie mam i nie
wiem, kiedy go będę w
stanie kupić, na razie dość
często brakuje mi na tram-
waj.

Jestem lekarzem — staży-
sta a moje obowiązki są te
same co i lekarza medycyny,
mimo że ten tytuł dostanę
dopiero po ukończeniu stażu.
Tymczasem traktują mnie
jak studenta siódmego roku
Akademii Medycznej. Zara-
biam 1.200 zł miesięcznie

Bicie

NA RATY

Dalszy ciąg
ze str. 1

wiek i notes i szybko obliczył:

— ORS kredytuje mi, powiedzmy 21.600 zł. Zabiera więc dla siebie 1.080 zł. Nie wiem, czemu za swoje manipulacje ORS tak drogo bierze, ale wiem, że manipulacje moje, to znaczy te, których muszę dokonać chcąc zrealizować kupno, przekraczają granicę rozsądku.

— Czemuż to? — pytam zdumiony. — Tyle ludzi wszak korzysta z usług ORSu i na ogół nie narzekają...

— To są chyba ludzie mało wrażliwi na pewne istotne sprawy — odparował pan Nowak. — Ale po kolei. Otóż najpierw powstaje problem: znaleźć żyrantów. Aż dwóch. Ludzie niezbyt chętnie żyrują. Bo kto sam wziął coś na raty, a jeszcze nie spłacił, nie może żyrować komuś innemu. A kto żyrował, ten nie może sam wziąć nic na raty do chwili, kiedy dług nie zostanie spłacony, co ciągnie się czasami: ponad dwa lata. A przecież nikt nie jest pewien czy np. za rok nie zapragnie sobie czegoś, kupić właśnie za pomocą ORSu. Robi się błędne koło. ORS tym sposobem zmniejsza liczbę swych potencjalnych klientów o dwie trzecie (na każdego realnego klienta dwóch „uziemionych“). I — co najważniejsze: ludzie nie kwapią się żyrować, bo jeśli klient z jakichś przyczyn „nawali“ i przestanie spłacać raty — do odpowiedzialności pociągani są przede wszystkim (a praktycznie wyłącznie) żyranty.

Obarczanie tylko żyrantów konsekwencjami nieuczciwości klienta jest oparte na metodzie „delikatnie mówiąc: „presji moralnej“ — ot, znajomi podzyrowali, to już oni potrafią wycisnąć ze znajomego fersę na złozenie w terminie raty. Wia- domo: „strzeż się bardziej sąsiada, niż wszelkich innych kłesk żywiołowych...“

Tymczasem takie rozumowanie jest błędne, a ponadto poniżające klienta — a żyrantów również. Wy- znaczają bowiem klientowi w pewnej mierze rolę potencjalnego złoźcy, a ży- rantom rolę policjantów — przy czym żyranty przez cały okres trwania długu drżą, czy czasem klient nie „nawali“. A sposobu na klienta nie mają żadnego — bo jeśli ORS nie ma, to niby jak ma mieć prywatny czło- wiek?

W efekcie — taki fakt: gość kupił „Syrenę“, pewien czas spłacał, aż wyjechał do Warszawy mając długu 26.000 zł. Zamieszkał tam nie meldując się, ale zarów- no żyrant, jak i wiele in- nych osób wiedziało, gdzie go można codziennie spot- kać. Jeździł zresztą niezapłaconą „Syreną“, której nu- mery rejestracyjne znano i zatrzymanie tego wozu przez MO gdziekolwiek w Polsce byłoby sprawą kilku godzin. Tymczasem ORS napastował tylko i wyłącz- nie żyrantów. Groził sądem,

komornikiem. Zapłacili po 13.000 zł i wytoczyli pry- watną sprawę przeciw dłuż- nikowi. Po dwóch latach dopiero milicja wyciągnęła niefortunnego „syreniarza“ z hotelu, gdzie się nieopatrz- nie zameldował. Sprzedał resztki swojej „Syreny“ i dług zapłacił, gdyż bał się więzienia, którym zagrozili mu zresztą dopiero jego prywatni wierzyciele!

A czy nie prościej, logicz- niej byłoby od razu? ORS powinien mieć odpowiednie uprawnienia, prosić milicję o pomoc, zatrzymać gościa, samochód odebrać, a gdyby większość rat była już spła- cona, to oszacować stopień zużycia „Syreny“, nadwyżkę zwrócić klientowi z potrą- ceniem bardzo wysokiej ka- ry — i używaną „Syrenę“ sprzedać na licytacji, lub znów na raty, taniej? Na- bywcy znaleźliby się na- tychmiast! Bo przecież nie każdy jest niewypłacalny!

Papierki, papierki. Dzie- siątki zaświadczeń, stempli, podpisów. Klient musi dwa dni biegać po biurach, po zakładach pracy (żyrant też) żeby ORS uwierzył, że pracują właśnie tam, a nie gdzie indziej, że mieszkają tam, a nie na księżycu — a papierki, które trzeba przy- tym wypełnić, są zadrukowa- ne gesto i dowcipnie. Ot, choćby taka pieczęć ostrze- gająca na zaświadczeniu, które wypełnia zakład pra- cy: „bez potwierdzenia miejsca pracy w dowodzie zaświadczenie nieważne“. A to niby dlaczego? Czy klient podrobi trzy stemple zakładu pracy na zaświad- czeniu i pięć podpisów? A jeśli tak, to czy nie stać go na podrobienie stempla w dowodzie?

Albo coś takiego (to już do twórców) że np. Zwią- zek Literatów ma określić wysokość zarobków danego literata, bo bez tego ani



rusz. A skąd Związek ma wiedzieć, ile dany literat zarabia, skoro Związek pieniędzy mu nie wypłaca? Literat dostaje pieniądze z pięciu redakcji w pięciu miastach, z trzech wydawnictw, ba, z zagranicy na- wet. Nikt mu nie może wystawić zaświadczenia o przeciętnej miesięcznych za- robków, nikt tych zarob- ków nie zna.

— Tak czy owak — cią- gnął pan Nowak pracow- cice: — trzy osoby muszą stracić łącznie sześć dni, żeby jedna z nich mogła coś kupić na raty. Ciekaw- jestem, za co ORS po- biera owe 5 proc. opłat manipulacyjnych? Za jakie manipulacje? Uważam, że za te 5 proc. ORS powin- nie: od zgłaszającego się klienta spisać z dowodu je- go dane i poprosić o zgło- szenie się za dwa dni. Po dwóch dniach klient powin- nie otrzymać do podpisa- nia umowę (a nie 30 czy 100 papierków!) otrzymać weksle i wpłacić ratę, na- stepnie zabrać swój naby- tek. Całą resztę formalno- ści winien załatwić ORS — przez swoich agentów, czy nawet — jeśli chodzi o ta- kie drobiazgi, jak potwier- dzenie miejsca pracy — te- wysokości zarobków — te-

EWA SULIBORSKA

JANINA

KALINOWSKA

Łódzianie
1963



Fot. E. KUDAJ

Kiedy rozpoczęła się woj- na pani Janina Kalinowska miała czternaście lat. Nie jest to wiek odpowiedni do podejmowania życiowych de- cyzji. Nie jest to też wiek, w którym łatwo znosi się samotność. Rodzice pani Ja- niny zostali rozstrzelani na samym początku wojny przez Niemców. Czternaście- tnia dziewczynka została zup- pełnie sama.

„Błąkałam się po mieście byłam głodna, nie wiedzia- łam co mam z sobą zrobić. Pewnego dnia udało mi się nawiązać kontakt z party- zantami, pojechałam z nimi do lasu. I tak to się zaczęło. Partyzanci się mną zaopie- kowali, wychowywali mnie, uczyli. O moim życiu zde- cydowano poza mną, od dzieci nie wymaga się prze- cież świadomych decyzji. Po- tem dopiero kiedy już tro- chę podrosłam, po jakimś ro- ku spędzonym w lesie zro- zumiałam o jakie sprawy walczyliśmy. I rozkazy wyko- nywałam z pełną świadom- nością. Byłam już wówczas wyszkoloną żołnierzem Gwardii Ludowej, złożyłam przysięgę, mianowano mnie dowódcą odcinkowym i mia- łam pod sobą kilkunastu lu- dzi“.

Pani Janina wychowywa- ła się w tradycji walki. Jej rodzice związani byli przed- wojną z Komunistyczną Par- tyą Polską, a ojciec kilka- krotnie siedział w więzieniu. „Jasia“ początkowo łącznicz- ka jeździła między Lubli- nem a Warszawą, woziła roz- kazy, konspiracyjną bibułę, broń. Sztab Gwardii Ludo- wej był przecież na Lubel- szczyźnie, a łącznik „Jasia“ — napiszmy to tak, — pod- legała sztabowi „Moskwa“. Potem kapitan Gwardii Lu- dowej walczyła ze staniem, biorąc udział w akcjach Gwardii. „Rozkrecałimy szy- ny — mówi — werbowaliśmy chłopaków do oddziałów.

„Pewnego dnia łącznik „Ja- sia“ została zatrzymana przez Gestapo na szczęście po kilku dniach udało się jej uciec i szła lasami do swoich, „lasy to tam znałam dobrze“ — mówi. W 1944 r. tuż przed wkroczeniem Ar- mii Czerwonej w walce z Niemcami kapitan „Jasia“ została ciężko ranna w no- gę. Przez rok przechodząc kil- ka operacji leżała w radzie- ckich szpitalach polowych, noga była uratowana, ale o powrocie do wojska nie by- ło już mowy. Trzeba się było leczyć. Tuż po wyzwo- leniu pani Janina Kalinow- ska przyjechała do Łodzi.

Życie układa się czasem fantastyczniej niż dopuszcza- ło to poetyka fantastycznej powieści. Kapitan „Jasia“ zaczęła po wojnie pracować w fabryce, „u Bulego“. Dziś to są Zakłady Przemysłu Jedwabniczego im. Wróblew- skiego.

„Chodziłam w mundurze, (nie miałam innego ubrania) podpierając się laską. Dotąd zresztą mam kłopoty z no- gą, to jedyna pamiątka po wojnie, pamiątka przykra, niestety, a wtedy chodzenie sprawiało mi trudności. Skończyłam przed wojną sześć klas szkoły podstawo- wej i nie umiałam zupełnie nic. Umiałam dobrze strze- lać, ale ta umiejętność prze- stała mi być potrzebna. No- siłam zawsze ze sobą dwa pistolety — nigdy się z nimi nie rozstawałam. Miałam na- wet z tego powodu kłopoty. Wtedy, kiedy wyszło rozpo- rządzenie, że należy oddać posiadaną broń, ja moich pistoletów oddać nie cni- łam. Okropnie byłam wtedy bojowa“.

„Wtedy zaczęłam pracować w biurze, w personalnym, no i zaczęłam się uczyć. Zro- zumiałam dość szybko, że to jest dla mnie sprawa naj- ważniejsza. Zaczęłam też działać. Byłam rezolutna, u-

miałam przemawiać, miałam dużo tupetu. Byłam komu- nistką. Zaczęłam organizo- wać w naszej fabryce mło- dzież“.

Pani Janina Kalinowska została członkiem ZWM, przewodniczącą tej organi- zacji w fabryce, działaczką, dzielnicy Łódź-Bałuty. — „Wyjeżdżałam pamiętam — mówi — odgruzowywać War- szawę. Mieszkaliśmy na Ko- szkowej w okropnych wa- runkach, często głodni pra- cownikami całymi dniami bardzo ciężko“.

W czasie obchodzonej nie- dawno dwudziestej rocznicy założenia ZWM, pani Janina Kalinowska za tamte lata, za tamtą działalność w Zwią- zku odznaczona została Zio- łątą Odznaką im. Janka Kra- sieskiego.

„Tak trudno uwierzyć — mówi — że to już minęło tyle lat od tamtego czasu. Skończyłam w tym czasie Technikum Włókiennicze i Studia Ekonomiczne, byłam dyrektorem Łódzkich Zakła- dów Przemysłu Pasmante- ryjnego. Praca zawodowa, społeczna, dom, rodzina, nauka — oto moje życie“. Powiedzmy, że pani Janina Kalinowska była przez ca- łych dziewięć lat (1951 — 1960) przewodniczącą Ligi Kobiet, że jest wiceprzewo- dniczącą Frontu Jedności Narodu. Powiedzmy też, że od dziewięciu lat (1954 — 1963) jest dyrektorem Pół- nocno-Łódzkich Zakładów Przemysłu Jedwabniczego. Ze jest matką dwunastolet- niej pięcioklasistki Małgo- si.

Praca zawodowa i spo- łeczna zabiera mi ogromnie dużo czasu. Ciągłe trzeba rozwiązywać jakieś proble- my, załatwiać jakieś spra- wy. Trzeba wydawać dys- pozycje, rozporządzenia. Dziś od rana załatwiam sprawę funduszu zakłado- wego. A sprawa eksportu,

jakości produkowanych tka- nin... Socjalizm to tu w fa- bryce; premie dla robotni- ków, mieszkania, lepsza praca, wygodniejsze życie. Zbudowaliśmy sześć bloków dla naszych pracowników, ale to ciągle mało. Będzie- my mieli własny Ośrodek Zdrowia, będzie w nim na- wet gabinet kosmetyczny, Mamy żłobek, przedszkole. Ale to wszystko jeszcze ma- ło. Kobiety, a te sprawy są mi najbliższe, ciągle mają zbyt wiele obowiązków, cią- gle zbyt mało myślimy o ułatwieniu kobiecie pracu- jącej organizowania gospo- darstwa. Stołówki nie roz- wiażują sprawy żywienia. Wiem z własnego doświad- czenia ile czasu trzeba po- święcić na zakupy i robie- nie obiadu“.

„Na pierwszym miejscu w moim życiu jest praca. Nigdy nie spóźniłam się do fabryki, nigdy nie pracuję mniej niż osiem godzin. Mu- szę ze wstydem powiedzieć, że najczęściej zaniedbuje o- bowiązki matki. Małgosia zajmuje się właściwie męż. Ale odrobione lekcje spraw- dzam często ja. Małgosia uc- czy się dwóch języków, ma same piątki i dużo czyta. A mąż, mąż jest także za- niedbany. Trudno, żona dyrektora. Zawsze sobie obie- cuje, że będę im obojgu poświęcać więcej czasu. I myślę, że mi się to kiedyś uda“. „Oczywiście mam książeczkę wojskową. Zosta- ła tylko „zdegradowana“. Nie jestem już kapitanem. Brak mi odpowiedniego wy- szkolenia. No cóż, dziś nie jest już czas odpowiedni na to, bym to konieczne przeszkolenie przeszła. Jes- tem porucznikiem z adno- tacją „zdolna do służby po- mocniczej“. Mówią, że hi- storia toczy się obok nas. To nie jest prawda. Historię tworzymy sami. Jestem o tym najgłębiej przekona- na“.

lefonicznie. (Takie zresztą choćby „potwierdzenie“ jest pozbawione sensu, bo klient może dzień później pracę zmienić, ba, rzucić w ogó- le, albo po prostu umrzeć na złość orsofskim biuro- kratom!). Wszystko to — bez żyrantów. Bez żyran- tów!

Człowiek powinien sam przyjmować na siebie od- powiedzialność za wszyst- kie transakcje materialne, których dokonuje. To zu- pełnie proste twierdzenie jest jednak niejasne dla ORSu. A co ma zrobić człowiek, który właściwie jest samotnikiem? Z ni- kim nie utrzymuje kontak- tów towarzyskich (bo trze- ba zauważyć, że orsofski system żyrowania — wybi- nie wzmacnia więzi towa- rzyskiej metodą „trójkowa“) do tego, stopnia, by dwóch ludzi zgodziło się za nie- go reczyć? To co, samot- nik ten ma nie mieć tele- wizora czy lodówki?

ORS powie, że bo ży- rantów, to jakby św...

przewrócił Czy jest na to rada? — pyta pan Nowak nieomal ze łzami w o- czach.

Odpowiadam panu No- wakowi, a przy okazji ORSowi:

— Jest taki kraj na świecie, niewiele większy od Polski (duchem przy- najmniej), którego obywa- tele wiodą dziwne życie, określane z ironią przez tradycyjnych Europej- czyków słowami: „życie na- raty“. (Pozwoliłem sobie strawestować to określenie w tytule tego felietonu). Otóż kraj ten, liczący bez- mała 200 milionów miesz- kańców, potrafił zorganizo- wać swoją idealnie „dzia- łąjącą obsługę ratalnej sprzedaży wbrew wielu nie- sprzyjającym czynnikom. Czynniki te to brak obo- wiazku meldowania się gdziekolwiek, nieistnienie tzw. dowodów osobistych ani obowiązku pracy, ol- brzymi obszar kraju, no i to przeraźliwe, potężne, kołujące się morze ludzi,

w którym można zginać, zatopić się bez śladu na- wieki wieków amen.

Przecież ichni ORS w ciągu pół godziny poszed- szy z torbami — gdyby tak miał do czynienia z klientami tej klasy moral- nej, co nasz w swoim mniemaniu! Ale gdyby na- wet... gdyby tak samo zło- dzię, no, to ichni ORS też ma na to sposób. Do- bry sposób. Klientowi za- biera się rzecz kupioną, sa- dza się go do aresztu. Okrutne? A u nas? U nas do tego głupie. Bo zamiast jednego nieuczciwego, cier- pi dwóch uczciwych.

Zaraz, zaraz — powiecie. — A jak ten zamorski ORS sprzedaje? Tam trze- ba chyba ze stu żyrantów?

— Otóż — nie. System sprzedaży jest właściwie tylko ratalny. Człowiek się zgłasza do jednego z setek biur (w każdym większym sklepie) w mieście (ba! agent sam do niego przychodzi!) po- kazuje choćby metrykę uro-

dzenia i składa (jeden!) podpis. To wszystko. Na- wet — nawet pierwszą (pierwszą!) ratę klient mo- że wpłacić niekiedy dopie- ro w trzy miesiące od chwili zabrania potrzebn- ego mu artykułu, choćby to był „Cadillac“ za 5 tysię- cy dolarów“.

Moi drodzy, którzy ma- rzycie o telewizorze, moto- rze, nowych meblach czy innym ratalnym diabeł- stwie! Napiszcie, co o tym sądzicie. Podajcie jakieś sposoby usprawnienia dzia- łalności ORSu. Zróbmy coś!

— Tak, tak, pomóżcie — dodaje pan Nowak. — Mo- że za parę lat dosięgnę „Junaka“, z którego mu- sialem teraz zrezygnować, bo przysypany jest potężną górą papieru!

ANDRZEJ BRYCHT

*) Wyjaśniam, że tego kapi- tałistycznego kraju bardzo nie lubię ale jego system ratalny podoba mi się.

str.
2

odgłosu

ZA I PRZECIW DUBBINGU (II)



Zastanówmy się, czym są w filmie napisy? Z pewnością nie można porównać ich z „brykiem”, jak to czyni Michałski. „Bryk” stosowany w praktyce uczniowskiej jako nie zawodna „pomoc naukowa” zużywa oryginalny utwór, na podstawi którego został dokonany, bowiem ogranicza się jedynie do odpowiedniego spreparowania akcji tam zawartej z pominięciem innych walorów artystycznych, o których decyduje styl pisarza, sposób interpretowania rzeczywistości, filozofia utworu itp. Wszystkie te wartości dzieła literackiego podaje za pomocą słowa, będącego jego tworzywem. Skoro jednak w filmie słowo wyłączone z tworzywa nie jest, metoda napisów, działająca na zasadzie artystycznego skrótu, nie pełni wobec filmu funkcji „bryka”, pozostawia bowiem nie naruszoną inną element, będącą nosicielami wartości estetycznych utworu. Funkcja napisów jest jak najbardziej służebna i bynajmniej nie pretenduje do miłana artystycznej. Również dubbing nie może być nie może, wręcz przeciwnie, jest on żywym tkanką utworu filmowego na zasadzie nieartystycznej przez zastąpienie jego naturalnej warstwy dźwiękowo-semantycznej, stanowiącej pogwałcenie koncepcji twórczej utworu jako estetycznej całości. Dubbing jedynie ułatwia percepcję obrazu filmowego, lecz nie pomaga we właściwym, pełnym jego zrozumieniu.

Zatem ani napisy, ani dubbing nie stanowią właściwego rozwiązania problemu, jakim jest rozumienie filmów obcojęzycznych. Należy jedynie zdecydować, która z nich i kiedy stanowi „złe mniejsze”. Na podstawie wszystkiego, co zostało wypowiedziane dotychczas można wnioskować, iż o „mniejszym złem” są napisy, powodujące w stosunku do dubbingu, znikomą szkodę artystycznym walorom filmu. Powyższa argumentacja oraz wnioski z niej płynące nie mają na celu bynajmniej pogrzebania metody dźwiękowego opracowywania filmów obcojęzycznych, a jedynie — obiektywne stwierdzenie faktów. Do tych ostatnich należy m. in. fakt dubbingowania za granicą 90 proc. filmów. We Włoszech dubbing został wprowadzony jeszcze przez Mussoliniego. We Francji istnieją kina, wyświetlające filmy w wersjach oryginalnych, w pozostałych zaś

można usłyszeć dialog wyłączone w języku francuskim. Podobnie jest w pozostałych krajach Europy zachodniej, podobnie w ZSRR, nie mówiąc o Stanach Zjednoczonych. Pozostałe 10 proc. — to filmy o specjalnych wartościach estetycznych, które ze względu na swój poziom artystyczny nie poddawa się zabiegowi dubbingu. W Polsce, mogąc się poszczycić najlepszym repertuarem filmów w skali nie tylko europejskiej, dubbing jest stosowany nie tak powszechnie, nie zdobył on sobie popularności.

Brak tradycji sprawił, iż chętniej ogląda się u nas filmy opracowane tylko w napisach. Rozwój techniki, rozwój środków wyrazowych w dziedzinie twórczości artystycznej powodują konieczność usprawnienia tych ostatnich.

Tycy to przede wszystkim telewizji, gdzie dubbing jest nie tyle niezbędny, co konieczny, bowiem rozszyfrowanie znaków pisma na ekranie w powierzchni określonej zaledwie w centymetrach kwadratowych, jest technicznie niemożliwe, zaś równoległe z projekcją odczytywanie listy dialogowej, to najgorsze wyjście z sytuacji. Można zatem stwierdzić, że przyszłość dubbingu leży w telewizji. Ta nie wyczerpuje bynajmniej pola działalności specjalistów tej metody. Twórczość dużego ekranu w bogactwie swoich form otwiera także przede wszystkim w dziedzinie filmów rozrywkowych, i filmów adresowanych do młodocianego odbiorcy, który nie nabył jeszcze biegłości w czytaniu. Jedne i drugie, mając w swych założeniach dostarczenie rozrywki, nie muszą odznaczać się specjalnymi walorami artystycznymi, w związku z tym możliwość zniszczenia tych ostatnich przez zabieg dubbingowania — jest znikoma. Jednocześnie fakt ciągłej obserwacji bez konieczności odrywania wzroku w celu odczytania napisów, ogromnie ułatwia proces percepcji.

Dotyczy to innej grupy filmów — filmów dialogowych, które charakteryzują się słabszym tempem, uboższą scenografią, słabszym wyeksponowanym elementem plastycznym — filmy kameralne o podłożu często psychologicznym. Udobęgnięcie warstwy dialogowej może w całości filmów charakterem swoim najbardziej zbliżonych do literatury (nie negując filmowości, obrazu pt. „Dwunastu gniewnych ludzi”,

„Anatomia morderstwa”, „Miejsce na górze”, ma tutaj, podobnie jak w przekładzie literackim znaczenie istotne.

Dubbing w tych grupach filmów, pomagając w procesie percepcji, działa na zasadzie nieartystycznej, na zasadzie protezy.

Pozostaje jeszcze jedna dziedzina twórczości filmowej, otwierająca dubbingowi nieograniczone możliwości i w której dubbing przestaje być „złem koniecznym”, a staje się zabiegiem, jak najbardziej twórczym. Mam na myśli film animowany, różniący się w sposób zasadniczy środkami wyrazu od filmu aktorskiego. Elementy rzeczywistości, do której należą postaci ludzi i zwierząt, są powołane do „życia” drogą technicznych zabiegów, dzięki którym zostają wyposażone w zdolność poruszania się i... wydawania dźwięków. Dubbing w filmie animowanym, pozbawionym naturalnej warstwy dźwiękowo-słownej, pełni zatem rolę protezy, a występuje tu na prawach pełnej autonomii, na zasadzie artystycznego zastępstwa.

Uwagi powyższe wypowiedziane zostały w celu możliwie jasnego zdania sobie sprawy z tego, czym jest dubbing rzeczywistości, a czym być nie może, i jednocześnie w celu określenia dziedzin twórczości filmowej, gdzie staje się on rzeczywiście niezbędnym, koniecznym a nawet twórczym. Bez względu na to, co zostało i zostanie jeszcze wypowiedziane pod adresem metody dźwiękowego opracowywania filmów obcojęzycznych, będzie ona zyskiwała sobie zwolenników i nowe dziedziny, gdzie stosowanie jej okaże się konieczne.

W ślad za jej upowszechnieniem idzie doskonalenie kadr specjalistów oraz środków technicznych. Studia dubbingowe stają się niezbędnymi komórkami, włączonymi w cykl produkcyjny, każdego ośrodka filmowego, a do takich niewątpliwie należy Łódź, posiadająca Wytwórnię Filmów Fabularnych (jedną z trzech w kraju), jedną w Polsce Wytwórnię Filmów Oświatowych oraz Studio Małych Form Filmowych „Semafior”. Łódzkie Studio Dubbingowe jest ogniwem w łańcuchu produkcji wyżej wspomnianych. Warunki, jakimi dysponuje (jest wyposażone w najnowsze urządzenia techniczne) pozwalają na realizację komentarzy do filmów oświatowych oraz na udźwiękowienie filmów animowanych. Nie bez znaczenia jest fakt, iż studio

daje zatrudnienie wielu łódzkim aktorom oraz znacznej kadrze doskonałych lingwistów, techników i specjalistów w tej dziedzinie. Swojego czasu podane projekt likwidacji Łódzkiego Studia Dubbingowego. Bez względu na motywację takiego postanowienia trzeba stwierdzić, iż środowisko łódzkie zostałoby zubożone o jeszcze jedną poważną placówkę kulturotwórczą, a kadra naszej inteligencji zostałaby uszczuplona o liczną grupę doskonałych lingwistów i techników-specjalistów w swojej dziedzinie, zmuszonych szukać zajęcia poza terenem Łodzi.

Należy żywić nadzieję, że to nie nastąpi, a Łódzkie Studio, otrzymując coraz lepsze filmy do opracowania, (decyduje o tym Centrala Wynajmu Filmów), umożliwi licznym kinomanom oglądanie ich w doskonałej wersji dźwiękowej.

ridiana”, „Szkoła uczuć”, „Proces”, „Kapral w matni”, „Zamknięcie” i „West Side Story”.

Na prośbę dziennikarzy zagranicznych reż. Grzegorz Czuchraj wymienił dziesięć, jego zdaniem, najlepszych filmów radzieckich: „Pancernik Potiomkin” (S. Eisenstein), „Matka” (W. Pudowkin), „Maszyna” (J. Rajzman), „Wielki obywatel” (F. Ermier), „Bohdan Chmielnicki” (I. Sawcenko), „Lenin w październiku” i „Lenin w 1918 roku” (M. Romm), „Czapaiew” (G. Wasiliew), „My z Kronsztadu” (J. Dzigan), „Swinarka i pastuch” (I. Pyriew), „Dziecko wojny” (A. Tarkowski).

Nowym „Obywatelem Kane” nazwała prawie jednomyślnie prasa francuska „Proces” wg Kafki w adaptacji i reżyserii Orsona Wellesa z Anthony Perkinsem i Romy Schneider w rolach głównych.

W moskiewskim WGIK-u kształci się obecnie młodzież z trzydziestu krajów. W roku ubiegłym przyjęto na tę uczelnię filmową 132 zagranicznych słuchaczy, wśród których jest kilku Polaków.

Centralna Wytwórnia Filmów Dokumentalnych w Moskwie realizuje film o przemysie eksportowym państw socjalistycznych reprezentowanych w RWPG pt. „Jest nas miliard”. Niektóre fragmenty filmu zaznajomią widzów z polskim przemysłem stocznym.

A. N.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„A jeśli to miłość?”

Bez przesady można napisać, że reż. Julij Rajzman, znany raczej do starszego pokolenia radzieckich twórców filmowych, swoim filmem „A jeśli to miłość?” stanął w jednym szeregu z tej klasy reżyserami, co Katalozow („Lecą żurawie”) czy Romm („Dzień dni jednego roku”). Co prawda jego film nie zdobył jeszcze międzynarodowych laurów festiwalowych, a co za tym idzie nie był wspaniałym, ogólnym jako arcydzieło sztuki filmowej, tym niemniej jest dziełem, któremu trzeba poświęcić więcej uwagi przede wszystkim dlatego, że jest filmem nieobojętnym, inny by rzekł — „zaangażowanym”, bezkompromisowym w ukazywaniu problemów i spraw współczesności, a ściślej współczesności radzieckiej.

Julij Rajzman wraz ze scenarzystami Niną Rudniewą i Josifem Olszańskim stworzył film, którego oddziaływanie jest stosunkowo szerokie i bardzo sugestywne. Autorzy scenariusza kreśląc sylwetki bohaterów filmu nie poszli na łatwizny, wyposażyli filmowe postacie w bogaty, różnorodny rysunek psychologiczny. Nie-

wątpliwie wielki w to wkład włożył Josif Olszański, znany polskim widzom scenarzysta interesującego filmu Kulidżanowa „Dom, w którym żyjemy”. Podobnie jak w wymienionym filmie, tak autorzy omawianego filmu penetrują radzieckie społeczeństwo, zapuszczają sondę w środowisko robotnicze — budowniczych wielkiego kombinatu przemysłowego — ludzi, u których jeszcze widoczny jest proces przechodzenia ze społeczeństwa wiejskiego, proces wyzbywania się starych nawyków, pojęć, a zastępowania ich kulturą uczuć, tolerancją wobec innych. Film Rajzmana zaskakuje przede wszystkim prawdą, owym realizmem, który nie jest fabrykowany na pokaz. Prawda i realizm zawarte w filmie Rajzmana są na pewno nie lakierowane, a mocno chropowate, tak zresztą chropowate jak ukazane w filmie grubianstwo, brak elementarnej wrażliwości i kultury, jak panoszący się jeszcze mieszczański przesąd i koltunstwo.

Dwoje młodych zostaje postawionych „pod pręgierzem społeczeństwa” tylko dlatego, że najnormalniej w świecie kocha

się czystą, daleką od zakłamań miłością powstała, jak to często bywa — na ławie szkolnej. Miłość, której początek stanowiła zwykła przyjaźń i szkolne koleżeństwo. Ksenia i Borys zostają potępieni przez „troskliwą o moralność współczesnej młodzieży” nauczycielkę. Ludzka zawzięta i niecierpliwa, znajdująca zastraszającą podatność wśród młodszych osiedla. Wśród ludzi, których trudno określić jako „strasznych mieszczańskich”, a jednak ludzi jeszcze niedolnych do nowego, współczesnego życia, które sami tworzą, będąc budowniczymi wielkiego miasta i kombinatu. Ich „małe”, domowe życie” stało się nieludzkim zamkniętym wąskim marginesem wypełnionym tym, co najgorsze i najpodlejsze pozostało z dawnych stosunków społecznych w jakich żyli oni sami lub ich rodzice. Rajzman nie przerysowuje, nie tworzy czarnych typów, jego podział nie idzie po linii negatywnych i pozytywnych bohaterów, ale po prostu podsuwa widzowi wycinek codziennego życia, którego ani nie zaczerpnął, ani nie bagatelizował jego dynamicz-



Popularna aktorka francuska Catherine Deneuve

nych osłanień. Szczegółowo chce swoim filmem pomóc w zrozumieniu niepotrzebnego, szkodliwego balastu obyczajowego. Jego film adresowany nie tylko do społeczeństwa radzieckiego, jakże przydatny jest również naszym rodzimym, polskim gruncie. Obserwator naszego życia bez trudu dostrzeże wiele podobieństw i analogii zawartych w filmie Rajzmana. Szkoda, że polska penetracja filmowa naszego życia społecznie ma jak dotychczas takie mizerne rezultaty, jak chociażby film „Między brzegami”.

Dzieło Julija Rajzmana wywołało wiele przeciwnych sądów, wiele polemik w Związku

Radzieckim — i to też chyba świadczy na jego korzyść, tym bardziej, że oprócz wartości wychowawczych, film „A jeśli to miłość?” został zrealizowany bez popadania w manery formalne. Reżyseria Rajzmana jak najbardziej prosta, znakomita jest w poprowadzeniu aktorów, wśród których odnajdujemy znaną z „Ballady o żołnierzu” Zannę Prochorenko. Również w filmie Rajzmana jest ona świetna, prawdziwa i wzruszająca. Jej partner Igor Puszkariw bardzo ciekawie zadbował w roli Borysa. Interesujące kompozycyjnie panoramy nie zdjęcia realizował jeden z najmłodszych radzieckich ope-

ratorów Aleksander Charitonow. Szkoda, że w przeciwnie do innych znanych i cenionych filmów w kinematografii radzieckiej, nasza reklama CWF tym razem tak mało poświęciła uwagi temu niezmiennie ciekawemu, jednemu z najbardziej dyskusyjnym dzieł radzieckiej twórczości filmowej.

odgłosy str. 3

A. JASKULSKA

SIAŁA BABA

MAK...

Siała baba mak,
nie wiedziała jak.
Ojciec wiedział,
nie powiedział
A to było tak:
Siała baba mak...

Można tę dziecięcą zabawę powtarzać w nieskończoność. O maku w ogóle można mówić bez końca. Zwłaszcza z fachowcami. Ci, z którymi rozmawiałam, mówili mi o nim rzeczy niezwykle ciekawe.

Było to w Kutnowskich Zakładach Farmaceutycznych „Polfa”. Mak, a właściwie puste, dojrzałe główki makowe, stanowią tu podstawę produkcji jednej z zasadniczych grup leków — alkaloidów makowca.

Cóż się ukrywa w zwykłej niepozornej makówce? Morfina, kodeina, narkotyka, tebaina, papaweryna, opium — jednym słowem cała „fura” cennych leków.

Leków — ale i narkotyków. Te ostatnie szczególnie pobudzają wyobraźnię, prowadzą na myśl afery handlowe narkotyków, nieszczęśliwe ofiary narkomanii itp.

WYSPIARZE

Kutnowska „Polfa” ma w swojej historii również jedną ciekawą aferę narkotykową.

Działo się to w styczniu 1962 r. W Kutnie pojawiło się dwoje ludzi — mężczyzna i kobieta. Najpierw do akcji przystąpiła ona — wiadomo, kobiecie zawsze łatwiej zasięgnąć języka. Kręciła się wśród pracowników, wypytując o to i owo. Szczególnie interesowała ją morfina: kto kieruje produkcją na tym wydziale, kto ma dostęp do instrukcji technologicznej itd.

Kiedy już dowiedziała się kilku nazwisk, wspólnie z mężczyzną zaczęła odwiedzać mieszkania prywatne. Ale jakoś nie bardzo skutecznie. Ludzie z „Polfy” odsyłali podejrzaną parę co raz to do innych osób.

Wreszcie kobieta i mężczyzna trafili do mgr Mariana Matusiaka — kierownika działu kodeiny. Tu odkryli karty: za dostarczenie im instrukcji technologicznej produkcji morfiny, gotowi są zapłacić.

Mgr Matusiak szybko podjął decyzję. Skierował amatorów morfiny do innego pracownika, sam zaś powia-

domił o wszystkim milicję. Wkrótce para ta została zatrzymana.

Przy zatrzymanym znaleziono bilety na statek „Batory”. Za dwa dni, 12 stycznia ub. r. mieli wyjechać na Wyspy Kanaryjskie. Czyżby chcieli tam założyć plantację maku i produkować morfina? Któż to zgadnie.

Warto dodać, że zaplanowana wycieczka była dosyć kosztowna. Za każdy bilet zatrzymani zapłacili po 26 tys. zł.

W jesieni ub. r. odbył się proces owej pary. Mężczyzna (niejaki Piatkowski z Łodzi) został skazany na dwa i pół roku więzienia, kobieta zaś na jeden rok. Na rozprawie mężczyzna utrzymywał uparcie, że jest narkomanem i pragnął produkować morfina w własny użytek. Jednakże lekarze biegli stwierdzili, że narkomanem nie jest i nigdy nie był.

Instrukcja technologiczna produkcji morfiny stanowi tajemnicę służbową. Ma do niej dostęp jedynie kilka osób. Gdyby któraś z tych osób wydała ją aferzystom, wybuchłby wielki skandal, tym bardziej, że jest to historia patentowa.

Za okazaną czujność pracownicy „Polfy” otrzymali nagrody: kierownik działu morfiny, Wacław Skowron oraz mistrz produkcji, Tadeusz Marciniak — po 2 tys. zł, a mgr Matusiak — wycieczkę orbisowską. Jednakże... nie na Wyspy Kanaryjskie.

BOGACTWO W ZIOŁACH

Z przeróżnych roślin produkuje się leki. Tysiące leków. Z samych makówek w kutnowskiej „Polfie” wyrabia się: morfina, kodeina, parakodyna, dionina, narkotyka i tebaina. Z liści pokrzywy i bielunia produkuje się atropinę. Z ziela żarnowca — siarczan sparteiny. Nawet „gryka, jak śnieg biała” okazała się cennym dla farmacji surowcem. W Kutnie przerabiają to „kaszan-kowe” ziółko na rutynę. Nie taką, oczywiście, której nabywa się przez długą praktykę, lecz na wartościowy glikozyd noszący tę nazwę. Inne glikozydy — nasercowe — otrzymuje się z liści naparstnicy.

Można by tak wymieniać jeszcze długo. Nie byłoby to jednak nie odkrywcze. Lecznicze właściwości roślin znane były ludziom od najdawniejszych czasów. Na podkreślenie jednak zasługuje fakt, że większość

owych leków pochodzenia roślinnego jeszcze nie tak dawno była przez nasz kraj importowana, nie potrafiliśmy bowiem produkować ich sami. Obecnie sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Farmacja polska nie tylko coraz bardziej wypiera import, ale również wchodzi ze swoją produkcją na rynki zagraniczne. Nasze leki nie ustępują w niczym zagranicznym, nie mamy też żadnych trudności z ich zbytem. Np. leki nasercowe, produkowane w Kutnie, przełamały na rynkach zagranicznych supremację Szwajcarii, która, jak wiadomo, od dawna z produkcji leków słynęła. Również kutnowska kodeina cieszy się w zagranicznych odbiorców dużym powodzeniem.

Zanim doszło do takich osiągnięć, wiele się musiała załoga Kutnowskich Zakładów Farmaceutycznych namudzić. Nie od razu wszystko szło łatwo. Dokumentacja na produkcję poszczególnych leków była opracowywana w skali laboratoryjnej — jej przeniesienie na skalę techniczną wymagało osobnych opracowań. Robili to właśnie oni — ludzie z kutnowskiej „Polfy”.

Przełomując niezliczone trudności, z maniakalnym wprost uporem odkrywali właściwe metody, osiągnęli zamierzony cel. Pracowali w prymitywnych warunkach. Nie mieli nawet odpowiedniego laboratorium (adaptowali na nie pokoje mieszkalne). Efekty, jakie uzyskali zasługują więc na szczególne uznanie.

Skończyli o ludziach mowa, wypada wymienić kilka nazwisk. Oto niektórzy spośród najofiarniejszych pracowników: mgr inż. Kazimierz Samul — dyrektor na czele, mgr inż. Bogdan Rakowski — główny technolog, mgr inż. Tadeusz Delong — naczelny inżynier, mgr inż. Jerzy Meler — kierownik biura, wymieniony już mgr Marian Matusiak i Wacław Skowron (bardzo ciekawa postać — rozpoczął pracę jako niewykwalifikowany pracownik i poprzez wszystkie możliwe szczeble doszedł do stanowiska p. o. kierownika działu morfiny. W wieku 40 lat skończył szkołę podstawową i pragnie rozpocząć studia w zaocznym technikum chemicznym. Racionalizator, sekretarz POP, Irene Rutkowska — do 1957 r. kier. działu inwestycji, obecnie kierownik inwestycji — Tadeusz Molenda, aparatowicz: Anna Pietrzak, Michał Wojtukowicz, Czesław Baczyński, Kazimierz Krawczyński i inni.

HISTORIA Z KOTAMI

„Polfa” kutnowska produkuje nie tylko leki pochodzenia roślinnego. Ostatnio poważnie rozwinęła produkcję leków pochodzenia syntetycznego, tzw. leków nitrofuranowych (te galeja produkcji uruchomili dwaj młodzi inżynierowie: T. Delong i J. Meler).

Produkuje się tu także od 1960 r. dekstran — lek krwio zastępczy, niezwykle przydatny przy wszelkiego rodzaju krwotokach i ubytkach krwi, zwłaszcza w sytuacjach, kiedy nie można natychmiast przeprowadzić transfuzji. Preparat ten, wstrzyknięty dożylnie, wydalą się z organizmu powoli, co sprawia, że przez kilka godzin uzupełnia objętość krążącej krwi i utrzymuje odpowiednie ciśnienie. Przez ten czas można zbadać wykrwawionemu człowiekowi grupę krwi i przygotować transfuzję. Mówiąc tedy prościej — dekstran to lek, ratujący życie ludziom, którzy — przed jego wynalezieniem

— byli skazani na śmierć z powodu nadmiernego upływu krwi.

O dekstranie piszę szerzej po pierwsze dlatego, że jest ciekawy, a po drugie — bo łączy się z nim historia kotów. A było to tak:

Mniej więcej przed rokiem (może trochę wcześniej), w dziennikach łódzkich zaczęły się ukazywać ogłoszenia o nieco szokującej treści. Kutnowskie Zakłady Farmaceutyczne „Polfa” ogłaszały mianowicie, że kupują... koty. W każdej ilości. Pod warunkiem, że będą to samce, nierasowe i nie rude, w wieku od jednego roku do trzech lat, ważące ponad dwa i pół kilograma. Za każdego takiego kota „Polfa” płaci „od ręki” 80 zł.

Co oni tam będą robili z tymi kotami? — zastanawiali się ludzie.

Że koty mają służyć do jakichś doświadczeń — nie trudno się było domyślić; zakłady farmaceutyczne to przecież nie przytułek dla bezdomnych zwierząt. Nikt jednak nie wiedział do jakich — i to ludzi intrygowało.

Wreszcie prasa łódzka doniosła, że na kotach przeprowadza się doświadczenia z dekstranem. To znaczy, że się je operuje, przecina im tętnicę, tętnicę na szyi, tętnicę udową i żyłę — a wszystko po to, by na miejscu krwi wprowadzić do ich organizmu dekstran i wypróbować jego działanie.

Te „krwawe” zabiegi wywoływały falę oburzenia: Jak można tak męczyć biedne koty? Do „Polfy” napłynęło w tej sprawie mnóstwo listów. Niektóre z nich były napastliwe i wręcz obraźliwe.

Dyrekcja „Polfy” cierpliwie odpowiadała na każdy list z osobna, tłumacząc autorom, że koty nie cierpią, ponieważ przed zabiegiem zostają uspijone zastrzykiem z uretanu etylowego, po którym zapadają w kilkugodzinny letarg, że po doświadczeniu powoduje się natychmiastową śmierć zwierzęcia, przez odcięcie dopływu krwi do mózgu, że martwe zwierzę jest spalane w specjalnym krematorium i że wreszcie nie robi się tego dla kaprysu, a z konieczności, gdyż trzeba sprawdzić, czy dekstran, który ma przecież ratować życie ludziom, jest dobry — koty zaś zostały uznane na całym świecie za najlepsze zwierzęta do przeprowadzania tego rodzaju prób. I to koty zwykle. Koty rasowe, koty rude i kotki są zbyt wrażliwe i różnie reagują na doświadczenia, a więc nie nadają się.

Jedni się oburzali, inni zaś... dostarczali „Polfie” koty. Przynosili je w workach, po kilka, odbierali za płacę i odchodzili. Potem jednak kotów w okolicy zabrakło i pracownicy „Polfy” musieli robić dalekie wyprawy, by zdobyć koty do swoich doświadczeń.

Obecnie w kutnowskiej „Polfie” nie przeprowadza się już doświadczeń na kotach. Zastąpiły je świnki morskie. Zresztą dekstran został udoskonalony, nie wymaga już takiego sprawdzania. O kotach jednak mówi się tu dziwnie serdecznie — odegrały przecież ważną rolę w historii produkcji dekstranu, a tym samym — w historii zakładu.

TYTONIOWE GAJE I KONOPNE LASY

Czy wyobrażacie sobie konopie, wysokie na 5 metrów i proporcjonalnie do swego wzrostu rozrośnięte, o potężnych łodygach i wielkich liściach? Albo tytoń — o

gromny krzak, wysokości ponad 2 i pół metra? Czy też główkę kapusty, wielką, jak sporych rozmiarów miednica?

Wyobrazić sobie można zresztą wszystko. Rzecz w tym, że rośliny o wielkościach podanych wyżej, to wcale nie fantazja. Wyhodowano takie okazy u nas w kraju. Na razie wprawdzie tylko doświadczalnie, na próbę — ale może już w bliskiej przyszłości urzemy takie rośliny oibrzymy na polach.

Będzie to zależało od kutnowskiej „Polfy”. Od tego, czy uda się jej wyprodukować dostatecznie dużo gibrescolu — on to bowiem sprawi, że spryskane nim rośliny osiągną takie nieprzeciętne wymiary.

Produkcję gibrescolu uruchomiła „Polfa” w roku 1961. W br. ma zamiar znacznie ją rozszerzyć. Z gibrescolem bowiem wiąże się nadzieja na szereg pozytywnych zmian w naszym rolnictwie — na zwiększenie przy jego pomocy upraw roślin paszowych, na wzrost plonów z hektara itd.

Oczywiście — to dopiero wizja przyszłości. Na razie gibrescol przechodzi przez szereg prób w instytutach naukowych i wyższych szkołach rolniczych. Te badania naukowe potrwają zapewne jeszcze dosyć długo. Warto dodać, że podobne badania nad preparatami tego rodzaju prowadzi się w wielu krajach, np. w Związku Radzieckim, w Stanach Zjednoczonych, w Anglii.

Tym niemniej już obecnie można o naszym gibrescolu powiedzieć, że jest to preparat, który może zrobić ogromną karierę. Jak wykazały badania, przeprowadzone w W. Z. Szkoła Rolniczej w Olsztynie — jest on aktywniejszy od zagranicznych preparatów tego typu.

Pozostaje mi jeszcze wyjaśnić, co to takiego ten gibrescol. Choć produkowany w zakładach farmaceutycznych — gibrescol lekiem nie jest. Preparat ten, wytwarzany przez specjalne odmiany grzybów w sztucznej hodowli fermentacyjnej stanowi mieszaninę kwasów gibrellinowych. Działa jako hormon wzrostu roślin. Przy spiesznie znacznie wzrost wielu z nich, wydłuża ich łodygę i powoduje duży przyrost zielonej masy.

Wspomniane już konopie, spryskiwane roztworem kwasów gibrellinowych, nie tylko osiąga wysokość 5 m, ale ciężar jego masy podwaja się, a jakość włókna nie różni się od normalnego. Podobnie jest z innymi roślinami.

Również nasiona, spryskiwane gibrescolem, wykazują znaczny wzrost siły kiełkowania. W przemyśle słodowniczym, gdzie gibrescol stosuje się już na skalę przemysłową, osiąga się dzięki temu preparatowi znacznie szybsze kiełkowanie jęczmienia i poprawę jakości siodu.

TROCHE FANTAZJI

Pod koniec mojej wizyty w „Polfie”, zaabsorbowana jeszcze gibrescolem, spytałam dyrektora Samulę:

— A co by się stało, gdybym tak spryskała gibrescolem swoje kwiaty doniczkowe?

— Wyrosłyby wysokie, owszem — ale byłyby słabe i blade. Bo oprócz tego preparatu potrzeba jeszcze roślinom słońca i odpowiedniego nawożenia — odparł.

Z kwiatami więc nie wyszło — przynajmniej z doniczkowymi. Ale fantazja podsunęła mi nowe pomysły. Już po opuszczeniu za-

informacje i zaczepki

Idea spotkań z piosenką trafiła na podatny grunt. Obecnie twierdzi się nawet, że kandydatów na piosenkarzy jest daleko więcej niż kandydatów na poetów. Nic więc dziwnego, że nauka piosenek jako od pół roku systematycznie prowadzi ZMS-owski Klub Pałacowy ma kolosalne powodzenie. Dużo w tym zasług „nauczyciela”, Jerzego Garniewicza — młodego piosenkarza, laureata ogólnopolskiego przeglądu artystów z ZMS w Opolu. Sądźmy, że nauka piosenek warto załatwić się i w innych młodzieżowych klubach.



„Odgłosy” pisały w listopadzie ub. r. o kieleckiej grupie poetyckiej „Ponidzie” — publikowały wówczas wiersze Miernika, Kocplinskiej i Zatorskiego. Ostatnio Wydawnictwo Lubelskie wydało almanach poetycki tej ekipy. Na tzw. skrzydełku książki wydawcy zacytowali fragment szkicu na temat „Ponidzi” opublikowanego właśnie przez nasz tygodnik.



Nie będzie przesady w zdaniu, że Muzeum Włókiennictwa to najbardziej aktywna placówka popularizująca plastykę w Łodzi. Ostatnio sprowadzono z Zakopanego pasjonującą wystawę tkaniny i malarstwa na szkło. Jako ciekawostkę podamy, że wystawione prace są wyłącznie dziełami pań. Mężczyźni za to są mile widziani jako zwiedzający. A naprawdę warto, bo zakopiańskie plastyczki pokazywały rzeczywiście rzetelną warsztat i dużą skalę artystycznych rozwiązań.



Wiele było osób na otwarcu łódzkiego baru-giganta „Balatonu”. W jadoł spisie znaleźliśmy, o wielkie nieba, aż siedem potraw. Złote giganty. Otwarcie zresztą jak otwarcie — nie specjalnego. Najgorzej było z zamknięciem. Już pierwszej nocy w „Balatonie” wybuchł pożar, bo pracownicy zamykający lokal zapomnieli ponoc zgasić gaz na paleniskach. A swoją drogą, człowiek dżin z niepokojem, żeby na drzewach nie pojawił się napis „remont”.

J. W.

młodego lekarza

Dokończenie
ze str. 1

W pogotowiu praca wymaga wielkiego doświadczenia, bo stan chorego zmienia się nierzadko z minuty na minutę i częste są wypadki złego rozpoznań. Lekarz pogotowia np. stwierdza u chorego (sądząc po pierwszych objawach) stan przedzawałowy, a potem, po przewiezieniu do szpitala okazuje się, że to zwykłe zapalenie płuc. Wiele gdy jest młodym lekarzem pogotowia, a takich jest ostatnio znaczna większość, możesz się potem najeść wstydu, gdy przywieziesz chorego do szpitala, bo dyżurny lekarz w szpitalu wytknie ci błąd czasem i przy ludziach.

W szpitalu dusimy się od nadmiaru biurokracji i pisaniny. Zamiast leczyć, uczymy

„Niech pani będzie łaskawa...” „Bardzo panią proszę...” Nie wystarczy zwykłe „Proszę dać choremu o godzinie 11 witaminę C...”

Na sali operacyjnej awantura: nie ma kto przynieść kolejnej „krzyżówki” (próbę krzyżowej krwi). Salowej często brak, nie ma jej i teraz, więc wszystko skupia się na młodym lekarzu stażyście. Bo stażysta zastępuje w razie potrzeby pielęgniarkę, salową, lekarza i kogo tylko chce się jeszcze. Młodym lekarzowi można zrobić awanturę przy wszystkich, na sali, gdzie leżą pacjenci. Słyszałem, że tylko w niektórych szpitalach jest inaczej, że nie podrywa się tam autorytetu młodym lekarzom.

Z domu starców przywieźli no staruszkę. Zabiedzona jest, wymierzowana, zagłodzona,

wypadek, że dziecko trzeba było oddać do domu, ale matka, w tym czasie wolała wyjechać na wczasy. Bo taka matka myśli sobie tak: — Czy mu tam źle? Niech sobie dziecko poleży jeszcze z miesiąc...

Mieliśmy też taki fakt: dziecko blokowało przez dłuższy czas separatkę (w tym okresie żadne inne dziecko nie mogło się tam dostać), bo rodzice nie zainteresowali się jego losem i sam szpital musiał wreszcie walczyć o ulokowanie małego pacjenta w zakładzie specjalnym.

Często widzę korytarz szpitalny pełen chorych, przywiezionych podczas dyżuru nocnego. Gdy trzeba potem korytarz rozładować, wypisuje się gorączkowo chorych, by dla tych z korytarza zrobić wreszcie jakieś ludzkie miejsce na salach. Dlatego wydaje mi się, że nie powinno się przebudowywać szpitala w Radogoszczu, gdy w Łodzi brak jeszcze tylu łóżek w szpitalach. Gdy zachorowalność na choroby zakaźne spadła, wydano decyzję, aby część szpitala przeznaczyć na cele szkoleniowe. Szkolenie to dobra rzecz, ale nie stać nas już teraz na taki luksus, aby wspaniale przygotowane separatki, idealnie nadające się dla niektórych groźniejszych wypadków z interny, przerabiać na pomieszczenia dla kursantów...

Gdy czasem pomyślę, że wielu ludzi zadręcza lekarzom, to aż mnie coś poosi. Uprawnień żadnych nie ma, jedynie co mi wolno — to kupić lekarstwo bez recepty w aptece, wypisać sobie receptę, dostać się do lekarza na rejonie. To wszystko. Ale przecież nikt nie pyta młodego lekarza skąd weźmie pieniądze na nowe ubranie, czy palto, a i młody lekarz musi mieć zawsze wypielegnowane, bo ręce — mówią — to narzędzia pracy lekarza.

Przydałaby się w szpitalach lepsza organizacja pracy. Wczoraj np. chore pisały sobie z nudów na ścianach różne rzeczy, tyle było na nich kurzu.

Wiele nie ma chętnych i ściany są nadal brudne i szare od kurzu.

Na dyżurze stażysta zwraca się do siostry, by zmienić chorej zastrzyki.

— Co? — zdziwiła się — ja wcale nie muszę pana słuchać...

— Jak to? Przecież pani mi podlega w czasie dyżuru.

— Niech mnie pan pocałuje w nos!

Dziś znów pełen korytarz chorych. Przywieziono ich nie wiadomo skąd i teraz w całym szpitalu rwetes, bo na gwałt trzeba dla tych z korytarza zrobić miejsce na salach. Przede wszystkim wypisaliśmy chorych przywiezionych specjalnie dla celów badań naukowych. No cóż? Z braku miejsca na salach i przedłużenia nauka tym razem nie z tych chorych nie będzie miała!

Przed południem, tak między 10 a 11 lekarze piją kawę, zarządzając taki mały potrzebny relaks. Zbierają się w gabinecie, porozmawiają przy kawie, wspomną o tym czy innym ciekawszym wypadku... Ale dlaczego na tę kawę nie zapraszają młodych lekarzy stażystów? I oni kawę piją często — ta izolacja zaś kawowa lekarzy starszych i doświadczonych od tych, którzy stawiają pierwsze kroki, robi wiele zł. Powiększa dystans między młodym lekarzem-stażystą a jego starszym kolegą ze szpitala (mimo wszystko przecież kolegą), nie przyczyniając się do poprawy nie najlepszej atmosfery.

Bo czy w czasie tej półgodzinnej kawy ucierpiąby autoritet i wielkość starszych kolegów?

Dziś miałem wyjątkowy dzień. O 8 odprawa, potem obchód chorych.

— Idę z panem — rzekł adiunkt.

Wiele czekam na niego godzinę — bez rezultatu. Chore chodzą sobie po salach, nudzą się. Żeby coś zrobić wypisałem jedną chorą, która miała wrócić do domu, ale o 11 rozpoczęło się zebranie i obchodu chorych nie można było już zrobić. O 13 zebrałem się do pisaniny: recepty dla chorych, którzy leżą, dla tych, którzy będą badani jutro epikryzy (przebieg choroby, ostateczne wnioski lekarza co do choroby) itp.

Z epikryzami jest najgorzej, bo muszą być podpisane przez lekarza prowadzącego daną salę, docenta, archiwistę, przez ludzi, którzy niby są w szpitalu, ale których odszukanie zabiera nieraz wiele czasu.

Dzień się już kończy, palce mam poplamione atramentem i tuszem, ubranie przesycone szpitalnymi zapachami, w głowie jakaś zamęt, a w całym ciele wielkie odrośnięcie. Czy ten dzień posunął moje doświadczenie, rzeczą najcenniejszą w lekarskiej praktyce, choćby o jeden krok dalej?..

FELIKS BABOL

Łóżek szpitalnych na 10.000 mieszkańców mieliśmy 78, a przeciętna dla całego kraju (a więc i „Polska powiatowa”) — 56,3.

JÓZEF KADZIELSKI

Telewizja a kultura współczesna(7)

TELEWIZJA A ZMIANY w konsumpcji kulturalnej

Na podstawie danych statystycznych można stwierdzić, że wraz z rozpowszechnianiem się telewizji następuje szereg innych zjawisk: widać minimalny wzrost sprzedaży gazet i czasopism (pomijam okres ostatniego półtora roku, w którym nastąpiły specjalne ograniczenia nakładów), nieproporcjonalny do zwiększającej się sieci kiosków oraz prenumeraty zbiorowej i społecznego kolportażu; minimalny wzrost liczby radioabonentów, olbrzymi spadek ilości biletów sprzedawanych do kin (największy w województwie katowickim) występujący jednocześnie ze zwiększeniem ilości miejsc w kinach oraz ilością seansów i premier; jeżeli chodzi o teatry i instytucje muzyczne to widać wzrost ilości imprez oraz spadek liczby widzów i słuchaczy lub nieproporcjonalny wzrost ilości imprez w porównaniu z liczbą widzów i słuchaczy.

Porównanie materiałów prasowych wskazuje na niewątpliwie pod tym względem analogie z rozwojem radia w Polsce w okresie międzywojennym: po okresie gwałtownych ataków w pierwszych latach rozwoju telewizji nastąpiło względne przystosowanie się do tego nowego środka kultury masowej, tym bardziej że dziesięciolecie jubileusz, licząc ponad milion teleabonentów, nie wypadła po dawno wymyślać. Jednak zdania na temat wpływu telewizji na zmiany w korzystaniu z dotychczasowych środków kultury masowej i instytucji kulturalnych są podzielone: jedni uważają iż wywiera ona wpływ ujemny, drudzy — dodatni. Stanowiła można pogodzić na podstawie wyników badań. Fragmenty takich badań przeprowadzonych w Łodzi i Katowicach miały odpowiedzieć na pytania: do jakich środków społecznych telewizja dociera w pierwszym rzędzie i jakie powoduje w nich zmiany w korzystaniu z dotychczasowych środków kultury masowej i instytucji kulturalnych.

W literaturze zwraca się uwagę, że telewizja wpływa na wzrost korzystania z wszystkich istniejących środków kultury masowej i instytucji kulturalnych, ponieważ teleabonenci więcej korzystają z nich od niteleabonentów. Na podstawie przeprowadzonych badań możemy stwierdzić, że jest odwrotnie: to nie telewizja w skali masowej wpływa na wzrost zasięgu korzystania z istniejących środków kultury masowej i instytucji kulturalnych tylko korzystanie z nich wpływa na wzrost zainteresowań telewizją. Teleabonenci w skali masowej stanowili najaktywniejszą pod względem kulturalnym część publiczności kulturalnej.

Telewizja w miarę rozpowszechniania dociera m. in. również do środowisk korzystających niewiele z istniejących dotychczas środków kultury masowej i instytucji kulturalnych oraz do takich środowisk, które nie korzystały z nich wcale. Zależnie od tego wejście telewizji do tych różnych środowisk powoduje odmienne zmiany. W środowiskach, w których nie korzystano dotychczas z żadnych środków i instytucji kulturalnych telewizja stanowi przełom w życiu kulturalnym ich członków i powoduje wzrost aktywności kulturalnej. W środowiskach, w których korzystano z istniejących środków kultury masowej i instytucji kulturalnych, ale w niewielkim stopniu, powoduje ona zmiany, których nie sposób określić w oparciu o badania przeprowadzone w Polsce. Pozostaje wreszcie trzecie środowisko

kulturalne, składające się z tych, którzy w dużym stopniu korzystali z wszystkich istniejących środków kultury masowej i instytucji kulturalnych. Składają się na nie przeważnie teleabonenci i nimi zajmowali się też głównie w badaniach przeprowadzonych w Łodzi i Katowicach. Badany teleabonentom zadano następujące pytanie: „Interesująca jest sprawa, jakie zmiany w życiu wywołuje posiadanie telewizora. Czy np. od chwili posiadania telewizora robi Pan(i) tak samo, mniej czy więcej następujące rzeczy: czyta gazety, czasopisma i książki, słucha radia, chodzi do kina i teatru”.

Zaznaczyć trzeba, że odpowiedź pochodzi jedynie od części teleabonentów, którzy mimo nabycia telewizora korzystają nadal z wymienionych środków kultury masowej i instytucji kulturalnych. Ogólnie wskazują one na dwie kwestie: dane bezwzględnie przedstawiają zasięg korzystania z środków i instytucji kulturalnych wśród wymienionej kategorii teleabonentów a dane procentowe na zmiany, jakie nastąpiły w tym zakresie; na marginesie trzeba zaznaczyć, że są one większe w Łodzi niż w Katowicach. Ogólnie zmiany można ująć w trzech następujących punktach:

1. Występuje spadek w korzystaniu z wszystkich środków i instytucji kulturalnych wynoszący od 1/5 w zakresie czytelnictwa dzienników do 4/5 w zakresie uczęszczania do kina.
2. Spadek ten jest nierównomierny, jeżeli chodzi o korzystanie z różnych środków i instytucji kulturalnych wśród pracowników fizycznych i umysłowych. Mniejszą on jest wśród pracowników fizycznych w przypadku korzystania z dzienników i radia, analogiczny jak wśród pracowników umysłowych w zakresie korzystania z kina i teatru i większy w przypadku korzystania z czasopism a szczególnie książek. Ten ostatni fakt związany jest przede wszystkim z przeciętnie niższym poziomem wykształcenia pracowników fizycznych.
3. Widoczne są także różnice w korzystaniu z różnych środków i instytucji kulturalnych między mężczyznami a kobietami zarówno wśród pracowników fizycznych, jak i umysłowych. Na większą uwagę zasługują jednak tylko różnice w zakresie czytelnictwa dzienników.

W oparciu o powyższe dane można stwierdzić, co już zostało częściowo zrobione, że oddziaływanie telewizji na korzystanie z istniejących środków kultury masowej i instytucji kulturalnych posiada dwustronny charakter: zależnie od dotychczasowej aktywności kulturalnej wpływa ona hamująco lub pobudzająco, hamująco wpływa na tych, którzy w dużym stopniu korzystali z wszystkich dotychczasowych środków kultury masowej i instytucji kulturalnych, pobudzająco na tych, którzy nie korzystali z nich wcale lub w minimalnym stopniu. Jeżeli te zjawiska występowałyby również w miarę rozpowszechniania się telewizji we wszystkich środowiskach, to przyczyniłoby się to w rzeczywistości do wyrównania występujących między nimi obecnie różnic kulturalnych.

odpowiedź str. 5

Ruch chorych w szpitalach:

	leczone	zmario
W ciągu 1961 roku w szpitalach w Łodzi	83.791	2.329
w Warszawie	149.870	4.721
w Krakowie	79.511	2.063

Przeciętny pobyt chorego w szpitalu:

w Łodzi	18 dni
w Warszawie	21 dni
w Krakowie	22 dni

Liczba łóżek na 1 lekarza medycyny:

w Łodzi	6,5
w Warszawie	4,7
w Krakowie	6,5

się w kontakcie z chorymi — wypełniamy formularze. Gdy chory przyjdzie do szpitala, staje się on właściwie załącznikiem do papierków, które trzeba wypełnić, wywiad, zlecenia, karty, recepty, i co dzień wszystko od początku, do tego doszło, że zlecenia na 3 fiołki penicyliny wypisać nie wolno, mimo, że chory ma ją dostać w ciągu trzech dni, nie — na każdą fiołkę każdego dnia trzeba wypisać osobne zlecenie...

Gdy chory opuszcza szpital trzeba wypisać przebieg choroby, uzasadnienie stanu zdrowia, karty informacyjne, karty statystyczne, wydać recepty do domu, wskazać jak ma się zachować, zamówić transport, wypisać kartkę do pogotowia, oddać siostrze — ale tylko w pewnych godzinach, bo inaczej chorego nie odwieżą do domu. Razem jest tego kilka godzin dziennie...

Bo, jak słyszę, w domu takim często nie przejmują się ludźmi — staruszka nie je, to niech nie je. Dopiero w szpitalu wraca do zdrowia, do sił. Ale cóż? Trochę ją

Personel służby zdrowia na 10.000 mieszkańców:

	Warszawa	Łódź	Kraków
lekarzy medycyny	39,8	24,5	35,1
lekarzy dentyistów	13,8	8,3	7,1
farmaceutów dyplom.	11,4	6,4	11,7
pielęgniarek	47,6	37,1	53,6
położnych	6,5	4,3	6,0

podreperujemy, tak, że może wrócić do domu, po to, by za parę dni znów trafić do szpitala. Stanowczo przydałaby się lepsza opieka nad tymi ludźmi w domach, w których żyją.

Bardzo mnie niepokoi jakaś złośliwa, nienaturalna obojętność ze strony niektórych rodziców. Gdy dziecko trzeba wypisać ze szpitala po operacji, czy jakiejś kuracji, to się okazuje, że nikt po to dziecko nie przyjechał. Alarmuje się dom, ale w nim nie ma nikogo. Miałem taki

Ciekawe jak ludzie uczą się pogardy dla cudzej pracy i wiedzy. Weźmy takie siostry. Nie mogę pojąć skąd, u niektórych z nich tyle pogardy dla młodych lekarzy-stażystów? Może to zawiść? Opowiadał mi kolega, że taka zawiść zdarza się i w wojsku: są zawodowi podoficerowie, którzy gnębia tych co mają cenę. W szpitalu taką siostrę trzeba prosić, błagać, żeby zechciała coś zrobić, coś, co należy do jej obowiązków. Więc siostrze mówi się tylko tak: „Może pani byłaby uprzejma zrobić to i to”,

Dziesięć lat trwają już konkursy recytatorskie zainicjowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Kontynuowane rokrocznie, stały się niewątpliwie jednym z najbardziej atrakcyjnych, zdobywanych środków upowszechnienia piękna języka polskiego, literatury, czytelnictwa i kultury żywego słowa.

Dzisiaj uczestniczy już i rywalizuje z sobą w wysiłku o prymat pięknego mówienia ponad 100 tysięcy młodszych ludzi żywego słowa ze wszystkich regionów naszego kraju.

Jest to, jak dotąd, największa impreza kulturalna, która ogarniając coraz szersze kręgi społeczeństwa urasta do pozycji dominującej wśród zagadnień wychowawczych ruchu oświatowego i artystycznego.

Znikły już co prawda początkowe wątpliwości, które towarzyszyły ocenie sensu i celowości tego rodzaju imprez konkursowych, pozostał jednak mimo to jakiś osad uprzedzeń w niektórych środowiskach, zawieszonych metodami i wynikami kwalifikowania kadry recytatorskiej dopuszczonej do eliminacji powiatowych, wojewódzkich i centralnych.

Podjętą analizę tych kwasów środowiskowych nie można równocześnie pomijać założeń i niezadowolonych samych jurorów, których pozytywna nieraz opinia o kształcie danej recytacji, została w rachunku większości sędziów konkursowych zmagoryzowana kapryśną kalkulacją arytmetyczną, dlatego przy tym zdawkową, że nie określona żadną podbudową argumentu.

Konfrontacja wiedzy wielu recytatorów i jurorów w zakresie estetyki, techniki, kultury żywego słowa, wykazuje jak głębokie nieraz różnice dzielące recytatorów od jurorów i — odwrotnie.

Z przebiegu dotychczasowych 9 konkursów recytatorskich wynikałoby raczej, że poza nielicznymi wyjątkami — recytatorzy grzeszą ciągle brakiem ścisłych wiadomości z zakresu techniki i kompozycji żywego słowa, choć nieraz maglą efektownego repertuaru i wdziękiem osobistym tak umiennie zahipnotyzować jurorów, że niechlujstwo dykcji i skłócone z doбором tekstu dyspozycje psychofizyczne pozostają niezauważone, bywają nawet premiowane wysokimi nagrodami, które uprawniają kandydata do przejścia na wyższy szczebel konkursu.

Jedno takie autentyczne zdarzenie znalazło się na wokandy szczytów wojewódzkiego. Jury wojewódzkie zdyskwalifikowało recytatora.

Przy sposobności badania tych spraw wyszło na jaw, że fachowiec — polonista z powiatu, błędnie operował cyframi tabeli punktacyjnej, wpisując za kulturę mowy 3 punkty, za interpretację 4 punkty, za ogólny wyraz artystyczny 5 punktów, zaś za dobór repertuaru 10 punktów. W sumie wypadła mu

cyfra 22. Zapytany dlaczego ten rodzaj repertuaru zaszczylił najwyższym stopniem — odpowiedział — „Utworom Słowackiego i Żeromskiego — bo te właśnie wybrał jeden z recytatorów — nie można dać niższej oceny, niż ta jaka tabela punktacyjna przewiduje jako najwyższą”.

Kiedy wdaliśmy się z nim w dyskusję tłumacząc, że skoro interpretacja uzyskała tylko 4 punkty, zaś ogólny wyraz artystyczny dość kłopotliwą cyfrę 5, to widocznie repertuar nie leżał w możliwościach technicznych ani w charakterze psychologicznym recytatora — szanowny juror był skonfundowany. Nie mieściło się bowiem w jego wyobrażeniach,

netofonowej, aby w razie różnicy zdań przy kwalifikowaniu recytatora móc odwołać się do niezawodnego superarbitra, jakim jest dokument dźwiękowy, rejestrujący z bezbłędnym obiektywizmem każdy szczegół potknięcia czy subtelności artystycznych. Nie mogłoby się wtedy w żadnym razie zdarzyć, aby przy omawianiu kwalifikacji danego kandydata, juror nie potrafił sobie przypomnieć postaci interpretacyjnej recytatora ani określić żadnym konkretem jego walorów intelektualnych, emocjonalnych czy technicznych.

Wydaje mi się także, że jurorzy nie mogą być tylko sędziami, a powinni pamiętać o tym, że są przede

wszystkim wychowawcami, pedagogami. Nie tylko mają wypływać błędy recytatorów, ale doszukiwać się także źródeł powstawania tych błędów. Trzeba np. zrozumieć, że mężczyzna nie powinien wygłaszać „Żołki wariatki” — Tuwima, a kobieta „Wielkiej Improwizacji” — Mickiewicza czy monologu „Kordiana”, albo — w odmienności struktur psychicznych i odrębności anatomicznej płci, nie przystające do gatunku danych utworów, gwałcić ich treść i formę przez nieudane choć usilne próby przystosowania swoich wrodzonych dyspozycji do wymagań ekspresyjnych danego tekstu. Od razu zresztą zareaguje na to audytorium. Teksty bowiem sprzeczne z właściwościami fizycznymi i psychicznymi odbiorcy budzą u słuchacza niewiarę do słowa, albowiem brzmią sztucznie i nieprawdźliwie.

Przypominam sobie, pierwszy występ (w roku 1955 w eliminacjach miejskiego III Konkursu Recytatorskiego w Pabianicach) popularnej później laureatki wielu pierwszych centralnych nagród w pionie akademickim. Wystąpiła wówczas z „Wielką Improwizacją” i fragmentem Sienkiewiczowskiego „Łatarnika”. Obiektywnie rzecz biorąc „Łatarnik” zalecał się w interpretacji soczystością kolorytu opisowego, właściwie ustawionym

dźwiękiem słowa, więc i dobrze eksponowanymi akcentami logicznymi. Co się dotyczy natomiast „Improwizacji” — to zarówno metryczny wynik analizy tekstu, przede wszystkim zaś przeciwna natura kobiecej męskulatura słowa, osadzona przeciw świadomości przez poetę w męskim profilu psychofizycznym, musiały wzbudzić zastrzeżenia, choć sygnalizowały już artystyczny temperament recytatorki.

I wtedy to, po podsumowaniu wyników eliminacji zaproponowano recytatorkę, aby rezygnując z „Improwizacji” dobrała sobie raczej repertuar nie tylko współbrzmiający z jej naturalnym głosem, ale i związany z jej predylekcją dobywania z intelektualnego uwarstwienia utworu, prawdy głębszego przeżycia.

Recytatorka wzięła sobie uwagi do serca i w następnych eliminacjach osiągnęła poważny sukces. Gospodarując już słowem w sposób zadziwiająco dojrzale, dała artystyczną kompozycję poematu tak bardzo złożonego w swojej fakturze technicznej, zmiennych finezyjnych akcentach psychologicznych jak „Małgorzatka” — Tuwima. Podobnie zresztą „Żółka wariatka” tegoż poety, przyniosła jej kolejno drugi wielki aplauz w postaci najwyższych nagród centralnych.

Do czego zmierzam?

Przykład ten dowodzi jak łatwo było pierwsze niepowodzenie recytatorskie skłonić do zmyślnego podsumowania cyfr punktacyjnych, jak łatwo było zmrozić wrażliwą uczestniczkę konkursu — nawet odstąpić ją od udziału w dalszym współzawodnictwie.

Przykład życzliwej ingerencji nieczęsto znajduje potwierdzenie w praktyce sądów konkursowych różnych szczebli.

Na ogół do dziś panuje system dość mechanicznego odbioru sparciałych schematów, krzewi się plaga kamienowania nowicjuszy, nie umiających dorównać swojej zaprawą dość liczny laureatom konkursu i zaawansowanym recytatorom. Inna rzecz, że i sami recytatorzy prowokują często jurorów, buńczucznością swojego wystąpienia. Aplikując im mianowicie z absolutną pewnością siebie tekst niekształcony pominięciem całych wątków osnowy literackiej, przedstawieniem szyku i rytmu wiersza czy siekaniem poszczególnych słów — wyobrażają sobie, że nikt tej mistyfikacji nie zauważy.

Na skutek tego wzmogła się ostatnio czujność i zastrzyły się kryteria jurorów. W dostrzeżonych wypadkach nonszalanckiego traktowania utworu, tok recytacji bywa przerywany na znak protestu przeciw nieodpuszczalnemu praktykom recytatorów. Na ogół jednak przerywanie recytacji z racji jakiegoś tylko kaprysu jurora nie powinno mieć miejsca, albowiem wywołuje często demobilizację psychiczną wrażliwego recytatora.

JERZY WALEŃCZYK

PSZCZOŁA NA ZAMKU W DOBZISZU

W zielonym świetle wśród strzyżonych klombów,
Do drzwi suchych kwiatów dobija się pszczoła.
I ogród jest cmentarzem kamiennych centaurów.
Pszczolo, uwolnij od słodczych kwiatów. Zimno
Uwilo gniazda na korytarzach zamku.
Braliśmy kąpiel w czarnej łazience.
Namiestnik kancлера chory na idealizm
Wspomnij go w starym łóżu i piękne maniery
Cesarskich motyli, białych oficerów.
Nasionem przezorności kielkowała historia
Zachowując posąg wodza i świętego,
Ogniwa długiej pomyślności.
Idźmy więc w świetle wielkich przestróg.
Pszczolo, uwolnij od słodczych kwiatów.



MODRA

Stoki słowackich winnic schodzą ku nam łagodnie
Jaśniejąc czule zielenią. Lasy rdzewieją i liście,
Relikty sezonu śpiewają. Spróbujmy
Tęgo wina zamkniętego w beczkach.
Za podróżne trudy. I stukot serca.
Niech pola nas ogarną i przyjdzie miasteczko
Świadczące, że wierzymy w wino moc zbawienne.
Niech nas przyjmie i pozna i zdziwi się.
A kiedy nas zabraknie niech nagle uwierzy
W swoją samotność potwierdzoną wiatrem.
Niech wkracza w sen jesieni. My, wijący się,
Przyspileni do stołu, powtarzać będziemy
Ginącą piosenkę i przemienie dzień.



ELEGIA BŁOGIEJ NIEŚWIADOMOŚCI

Oto ja w świecie kształtów i form i aspektów.
Spełniają się rosnące wróżby i zamyty.
Horyzont zakreślony. Zastygłe w złudzeniu.
Wicher kołysze zwierzęciem, człowiekiem, ładem.
Niespodzianki mają wiele głosów. Krakanie chmur
Wśród przestrzeni, umarły szepć prymitywnych narzędzi
Lub nagła awaria Miejskiej Elektrowni.
Muzyka pozorów uchodzi za głos.
Którzy byliście blisko głosu, ja
Głowa lekka i pusta uderzająca o kurtynę nieodstąpioną.
Sposób i nieświadomość. Cel i zaskoczenie.
Izolda i Tristan. Testes i Ovarium.
Welon na wiatr
W ciemności ochryplej. Zapomnieć. Zapomnieć.

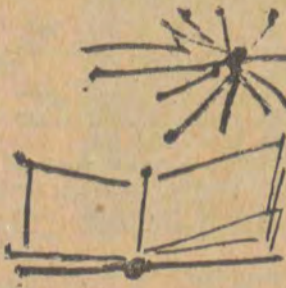
CO w terenie?

Zbliżają się finały X Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. 20 i 21 kwietnia w gmachu Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej przebiegać będą eliminacje wojewódzkie, do których stanęło 73 recytatorów — laureatów przelutych powiatów. W tym roku do Konkursu przystąpiło ogółem 9.300 osób z terenu naszego województwa, to jest blisko tysiąc więcej niż w latach ubiegłych.

Wydział Kultury Prezydium MRN w Piotrkowie wystąpił z interesującym pomysłem powołania Społecznej Rady Estetyki Miasta, Rada, w skład której wejdą plastycy, przedstawiciele szeregu zainteresowanych instytucji oraz społeczni działacze kultury, będzie czuwała nad upiększeniem plottkowskiego grodu. Pomysł godny pochwały i naśladowania.

W wyniku realizacji hasła o likwidacji zanieczyszczeń kulturalnych na wsi, w Działoszyńcu, pow. Pajęczno, otwarto 9 kwietnia nowe kino panoramiczne. Jest to pierwsze w naszym województwie kino panoramiczne na wsi, ma ono piękne, nowoczesne wnętrza oraz urządzenia projekcyjne, zapewniające 217 widzom znakomity odbiór.

W najbliższych dniach oddane zostaną do użytku społeczeństwu dwa dalsze kina, w Kolumnie i Galkówku.





Irena Malkiewicz, Zbigniew Niewczas i Zbigniew Koczanowicz w sztuce Leona Kruczkowskiego, pt. „Przygoda z Vaterlandem”.

EWA SULIBORSKA

„PRZYGODA Z VATERLANDEM”

Dla dramatu Kruczkowskiego istotne są dwie sceny: scena w konsulacie i scena finałowa. W pierwszej dowiadujemy się wszystkiego o Karolu Hummlu, niewielkim berlińskim aferzyście, który chce dostać się za darmo do Niemiec i popełnia w tym celu drobna mistyfikacja. Ta scena stawia problem. Wszystko co dzieje się potem jest już tylko dopełnieniem, koniecznym, ale łatwym do przewidzenia. Scena finałowa to tylko zdemaskowanie Hummla. Ale nie tylko Hummla. Karol Hummel jest bowiem zdemaskowany w momencie, gdy dramat Kruczkowskiego się zaczyna. Wiemy kim jest Hummel nim cokolwiek wydarzyło się na scenie. I wiemy jakim celem będzie służył. Karol Hummel jest bowiem w scenie finałowej tylko pozornie zdemaskowany. Nie on jest właściwym bohaterem dramatu Kruczkowskiego. I nie on interesuje autora. Właściwym bohaterem dramatu, czy raczej tragifarsu, bo tak należałoby określić gatunek sceniczny sztuki Leona Kruczkowskiego jest ów Vaterland. To o przygodę z nim chodzi. Hummel jest tu tylko pretekstem. Pretekstem jest także kryminalna fabuła jaka jego postać niesie.

Dla Kruczkowskiego istotną była sprawa idea. Jej służył dramat. Hummel słaby, mały człowieczek — nagle, wbrew sobie — zostaje wplątany w ogromną, przerastającą jego wyobraźnię, jego ambicje i możliwości machinę. Ów podający się za Daubmanna-żołnierza — aferzysta zaczyna służyć faszyzowskiej ideologii. Stał się nagle człowiekiem ważnym i bogatym. Stał się instytutem. Jest modelem wzorcowym. Istnieje pilna potrzeba bohatera. Rodzący się militarystyczny potrzebujący pomocy. Ów Daubmann, nie — Daubmann za-

czyna odgrywać rolę bohatera. Daubmann, Daubmann-Hummel jest człowiekiem, potrzebny. Rozpoczyna się przygoda z Vaterlandem.

Kruczkowski obnaża zasady państwowości. Obnaża nacjonalizm. Hummel jest tu tylko narzędziem. Dzięki niemu to obnażenie jest tak ostre, tak wymowne. Kimże bowiem okazuje się ów Karol Hummel? Okazuje się jedynym w gruncie rzeczy pozytywnym bohaterem tragifarsu. To jego ustami wypowiada Kruczkowski swoje sądy o hitlerowskiej partii, o nowym zaprowadzonym przez nią porządku. W tym cuchnym świecie on jeden przyjmuje zasadę gry z pełną świadomością popełnianego oszustwa. Jest to oszustwo popełniane w imię jego, małego Hummla interesów. Cóż bowiem znaczą ów Karol Hummel wobec nadzwyczajnej idei państwa? Oczywiście nie znaczą nic. Jest potrzebny o tyle, o ile służy ideologii. W momencie gdy jego karty są odkryte, gdy odbywa się ta, tylko pozorna przeciw demaskacja, w imię idei zostaje uwolniony. Małe oszustwo Hummla nie jest ważne. Obnaża się wielkie oszustwo. Hummel jest w nim tylko pionkiem, pionkiem nie nie znaczącym, o niczym zupełnie nie mogącym stanowić.

Sztuka Kruczkowskiego pozostała sztuką polityczną, sztuką przeciw faszyzmowi. I niczym poza tym. Jej pierwsza wersja została napisana bodaj w 1932 roku i była reportażem scenicznym przedstawiającym autentyczne wydarzenia; aferę niejakiego Daubmanna. Później, już po wojnie Kruczkowski sztukę przeredagował. Nie o to jednak chodzi. Nie interesują nas kolonne redakcyjne „Przygody z Vaterlandem”. Wystawiona dziś, znaczy co innego niż

wówczas, gdy odbywała się jej prapremiera. Dramat będący odbiciem sytuacji politycznej sprzed wojny, będący przejrystą aluzją nie tylko do sytuacji ówczesnych Niemiec gotujących się do wojny, ale i do sytuacji sanacyjnej, faszyzującej Polski, musiał być wówczas inaczej odbierany. Jego wymowa była o wiele ostrzejsza.

Czy dziś, po doświadczeniach wojny, po kilku świetnych dramatach mających za przedmiot podobną do „Przygoda z Vaterlandem” problematykę — sztukę Kruczkowskiego ma już tylko znaczenie historyczne? Myślę, że nie. Problematyka sztuki pozostała mimo swojej jednoznaczności ciągle żywa i istotna. „Przygoda z Vaterlandem” jest i dziś ostrzeżeniem.

Roman Sykula potraktował — chyba niepotrzebnie — tekst Kruczkowskiego o powagę i namaszczeniem, dał sztuce sztafaż, który miał doświadczyć problematyki i znaczenia. Zobaczyć w „Przygodzie z Vaterlandem” brechtowską „Kariere Artura U” i tak sztuce wystylizował. Tak też próbował zagrać Hummla Zbigniew Niewczas. Miał, powiedzmy to, trudne zadanie. I mimo kilku ciekawie pomysłów scen, mimo sprawności technicznej nie zdołał uniknąć miejsc pustych. Nie miałem mu tego za złe. Miejsca puste są w sztuce Kruczkowskiego mimo kunsztownego kostiumu w jaki ozdobił ją Roman Sykula. Odnosiłem wrażenie, że w roli matki bardzo interesująco wystąpiła Irena Malkiewicz, w roli ojca Zbigniew Koczanowicz, autorem scenografii był Józef Rachwański.

Leon Kruczkowski, „Przygoda z Vaterlandem”, inscenizacja i reżyseria Roman Sykula, scenografia Józef Rachwański.

TADEUSZ PAPIER

POWTÓRNA ŚMIERĆ BORYNY?

Piszę recenzję o Lipcach. Piszę: Lipce, a myślę: Janina, Rokiciny, Strzałków. Piszę Lipce, a myślę o rodzinnej wsi, o jej kłopotach i jej sukcesach. Nie tylko dlatego, że w Lipcach dopatrzyłem się „typowych dla dzisiejszej wsi ludzkich charakterów, obyczajów i stosunków społecznych”. I nie dlatego również, że urzekła mnie wizja wsi zostawiona przez Reymonta. Kogóż ta wizja nie urzekła! I chociaż wiele zmieniło się w Lipcach od tamtego okresu, i ówczesne aktualia zwietrzały, i stare konflikty wygasły, nawet krajobraz są inne (jakkolwiek okolice są lasem rogowskim „z niedużymi kępami lasów na stokach pagórków” — jak zapowiada Przewodnik Turystyczny — są nadal „bardzo malownicze”) Lipce pozostały te same, bogate i biedne, żywe i niespokojne, i wciąż symboliczne.

„Chłopi”, prawda, ale nie tylko o te symboliczne chodzi. Obraz Lipiec sprzed sześćdziesięciu laty wszedł do literatury i pozostał. Nowe Lipce również nabrzmiały są symboliką. Wsi w Polsce jest około trzydziestu tysięcy, wieś wsi jest nierówna, te same konflikty gdzie indziej inaczej się rozwiązują, ale w Lipcach odbijają się sprawy nie tylko tej jednej gromady. Lipce, to także moja rodzinna wieś, chociaż na cmentarzach lipieckich nie spoczywają prochy, jak to nazywa Stanisław Czernik, moich antenatów. Na Lipce wszędzie można się natknąć. Także w książkach Czernika, Piętaka, Mortona, mimo że piszą oni o wsi opatowskiej, sandomierskiej, pińczowskiej.

Czernik pisze pięknie o swoich związkach z przeszłością, o poszukiwaniu własnego rodowodu, o „kompleksie chaty” tak ważnym dla jego biografii ogólnej i poetyckiej, przy czym stawiając te pytania nie szuka tak zwanych związków krwi, „lecz powinowactwa psychicznego ukształtowanego przez podobieństwo losów, podobieństwo wynikające z określonych postaw psychicznych”. Reymont napisał

ewangelie Lipiec i jest gdzieś dokopywać się związków z przeszłością, 13 lipca bieżącego roku zespół świetlicowy w Lipcach powinien obchodzić jubileusz trzydziestolecia pracy artystycznej; być może wystawi przy tej okazji widowisko ludowe pt. „Wesele Boryny”. Zjadą się goście z najbliższych okolic, z Łodzi, z Warszawy, może nawet z Krakowa. Będą obchodzić wieś, upatrzą pamiętańki, obejrzą dom rodziny Gabryszewskich, która miała należeć do bohaterów epopei Reymonta, Kłębów. Może niektórzy wdepną na cmentarz. Na starym cmentarzu stoi drewniana kaplica „konstrukcji zrebrowej, zbudowana zapewne w XVII wieku”. A więc natkną się na coś materialnego, co było „kiedyś” i co jest dzisiaj. O ścianę tej kaplicy odbijały się odgłosy dawnych życia, stare pieśni, zawołania i płacze. Kto ma duszę wrażliwą i poetycką będzie umiał rozmawiać z przeszłością. Lecz niektórzy zainteresują się innymi symbolami. We wsi stoi obelisk pamiątkowy ku czci Pięciu Powieszonych. W roku 1942 hitlerowcy powiesili w Lipcach pięć osób „dla zastraszania miejscowej ludności organizującej czynny opór przeciwko okupantom”. Ten znak, ten symbol najwyraźniej powiada o czasie, który nadszedł. Ludzie, których pamięć dzisiaj czcimy, owi „niepodlegli” i „honorowi” reprezentują nie tylko Lipce; reprezentują wszystkie wsie i gromady w Polsce. To są te najbliższe i najmocniejsze związki z przeszłością „powinowactwo psychiczne”, które Czernik wywołuje.

„Ale jest przecież życie, nie zawsze jasne i nie zawsze pogodne, nad Lipcami przechodzą nowe zimy, nowe wiosny i nowe lata. Oto wybrane fakty z kroniki Lipiec powojennych: rok 1946 — budowa własnym kosztem przystanku kolejowego; 1947 — zasypianie części stawu; 1950 — budowa magazynu rolniczego i zbożowego GS „Samopomoc Chłopska”; 1952 — budowa remizy strażackiej; 1954 — budowa Domu Ludowego im. Wł. Reymonta; 1957 — budowa lecz-

nicy weterynaryjnej; i następne lata — budowa szkoły-pomnika im. Reymonta, zorganizowanie ogniska muzycznego, elektryfikacja wsi. I wreszcie ostatnia sprawa: chłopcy z Lipiec opracowali własny, perspektywiczny plan rozwoju wsi do roku 1975. Pisała o tym prasa, omawiała tę sprawę Feliks Starzec we „Wsi Współczesnej”. Plan inwestycyjny wynosi około 17 milionów złotych, przewiduje całkowitą przebudowę i modernizację wsi, zaprowadzenie sieci wodociągowej i kanalizacyjnej, zbudowanie przetwórnicy surowców owocowych, materiałów budowlanych, zbudowanie ośrodka zdrowia, muzeum regionalnego, schroniska PTTK, kina, łaźni, pralni, magla, stadionu sportowego. Trzeba dodać: Lipce w roku 1960, kiedy rodził się plan, liczyły 703 mieszkańców, gospodarstw 196, obszar użytków rolnych 552 ha.

Czy w roku 1975 zastanie Lipce całkowicie przebudowane i przeobrażone, czy przez środek wsi będzie biegła piękna szosa? Czy będziemy zwiedzać muzeum regionalne? Czy chłopcy z Lipiec wykonają swój plan? Jakie trudności ich czekają, nie tylko natury organizacyjnej? Jakie inicjatywy społeczne muszą jeszcze podjąć współcześni Borynowie, Kłębowie, aby liczyć na sukcesy, jakie siły będą decydować o powodzeniu planu? Nie można odpowiedzieć na razie na te pytania. Ale zamiary można poddać ocenie. Bez względu na to czy plan ma szansę realizacji, czy też nie inicjatywa lipiecka wskazuje na źródła tego nowego, które kielkuje albo już rośnie na wsi, na źródła przemian. Na te czynniki, które rozwijają technikę i kulturę na wsi, a które nie zawsze idą w parze z przełamywaniem starych postaw. Lipce się budzą do nowego, w Lipcach dnieje, Lipce żyją — oto są te nowe tematy lipieckie, w których występują nowi bohaterowie. I jeżeli już mówimy o związkach z przeszłością, to chyba nie potomkowie Boryny, a Szymka Peczunia, który nie zrażony żadnymi przeciwnościami daje sobie radę ze złą ziemią, buduje dom na pustkowiu, stają się przedmiotem naszego zainteresowania. Bohaterowie, którzy rozumieją sens przemian dla których świat nie stoi w miejscu, którzy ze starego spichrza potrafią wybrać najlepsze ziarno. Nie piszę więc dosłownie o śmierci starych współczesnych Borynow, Człowiek może umrzeć sam w sobie i narodzić się po raz drugi. Wierze w człowieka, który rodzi się na nowo. Wierzę w ludzi, którzy w tym naszym skomplikowanym świecie potrafią dostrzec płomyki nowego; którzy budują nową wieś i w pełni wykorzystują jak powiada Dyżma Gałaj „siły własne wiejskiego środowiska”. Ten nowy świat wsi ukazany w wizji nowych Lipiec, wsi z własnym bogatym rodowodem musi być bliski każdemu.

ZBIGNIEW NIENACKI

ARCYCIĘKAWA KSIĄŻKA

Na półkach księgarskich ukazała się arcyciekawa książka napisana przez młodego naukowca łódzkiego, Jerzego Kmiecickiego, i stanowiąca rezultat przeprowadzanych przez niego kilkuletnich prac wykopaliskowych w Polsce na Pomorzu Wschodnim oraz w Skandynawii i w Niemczech. Jest to książka tak bardzo ciekawa, przede wszystkim dlatego, że oprócz zawartych w niej wyników badań naukowych pod wieloma względami zupełnie rewelacyjnych, stanowi ona jednocześnie jakby o-

gromną polemikę z wieloma dotychczasowymi uznanymi za nienaruszalne tezami historycznymi i archeologicznymi. Książka ta z całą pewnością spowoduje ożywioną polemikę w świecie naukowym, interesującą może się ona okazać także i dla laika zainteresowanego zagadnieniami dotyczącymi naszego przeminienia.

Sprawa poruszona w książce Jerzego Kmiecickiego dotyczy zagadnień pobytu germańskiego plemienia Gotów i Gepidów na Pomorzu Wschodnim na początku naszej ery, czyli w tzw. okre-

sie wczesno-rzymskim i śladów interesującej kultury materialnej odnajdywanej z tych czasów na Pomorzu, czyli tak zwanej kultury gocko-gepidzkiej. Otóż w dotychczasowej nauce polskiej (i nie tylko polskiej) obowiązywała teza, szeroko zresztą lansowana przez szowinistycznych uczonych niemieckich, że na początku naszej ery Goci i Gepidzi zamieszkujący południową Skandynawię wywędrowali ze swej ojczyzny udając się na południe, nad Morze Czarne, i w drodze swej podobili plemiona Słowian zamieszkujących ujście Wisty i Pomorzę, gdzie zatrzymali się ponad sto lat.

Jerzy Kmiecicki przez kilka lat rozkopywał stare cmentarzyska na Pomorzu Wschodnim, potem wyjechał za granicę i konfrontował polskie znaleziska z tym wszystkim, co z tego okresu odkryto w Niemczech i w Skandynawii. I okazało się, że tak zwana kultura gocko-

gepidzka jak najbardziej wywodzi się z rodzimej wenedzkiej kultury oksywskiej, że nie może być mowy o jakimś bezpośrednim totalnym przesiedleniu się plemion germańskich na teren Pomorza Wschodniego, wiele znalezisk, przede wszystkim ozdób przypisywanych Gotom, znajdowało się u nas znacznie wcześniej niż analogiczne przedmioty w Skandynawii albo w Jutlandii. Jeśli więc można mówić o infiltracji, to raczej z południa, na północ a nie odwrotnie. Kmiecicki nie neguje możliwości pobytu Gotów na Pomorzu Wschodnim, bo faktem jest, że kilkadziesiąt lat później stworzyli oni nad Czarnym Morzem bardzo potężne państwo, być może więc, że szlak ich wędrówki prowadził i przez terytoria słowiańskie, neguje jednak dotychczasowy pogląd, że była to wędrówka jakiegoś jednolitego zdolnego do podboju organizmu państwowego czy plemiennego, a raczej powolna infiltracja druzyn czy grup rodowych,

które nie w drodze podboju, ale być może za zgodą słowiańskiej ludności autochtonicznej — zajmowały terytoria dotychczas niezasiedlone czyli anekumenty. Te grupy czy rody, oczywiście wnoszący swój element kulturowy, ale już do istniejącej na tych terenach wenedzkiej kultury oksywskiej. Pozostałością takiej „pokojuwej” infiltracji były na przykład, cmentarzyska z kragami kamiennymi i stelami.

Książka Jerzego Kmiecickiego pomaga rozbić fałszywy mit z naszej prehistorii, ukazuje, że owi legendarzni Germanie północni nie byli ani tak liczni, ani tak bitni, ani tak zdolni do podbojów, gdziekolwiek by się nie pojawili. A owi słowiańscy Wenedzi — ani tak słabi i skłonni do poddania — jak to sobie do tej pory wyobrażano. Sprawa pobytu Gotów na naszych ziemiach przedstawiała się zupełnie inaczej i o wiele ciekawiej.

Piszemy o tej książce nie tylko dlatego, że autorem jest łódzki naukowiec, a pracami wykopaliskowymi na Pomorzu zajmowała się ekspedycja Uniwersytetu Łódzkiego, a przed trzema laty z prac wykopaliskowych publikowaliśmy cykl reportaży w naszym piśmie, ale także dlatego, że problematyka zawarta w tej książce dotyczy tak istotnego dla nas zagadnienia poglądów na stosunki słowiańsko-germańskie w dawnych wiekach.

Jerzy Kmiecicki. Zagadnienia tzw. Kultury Gocko-Gepidzkiej na Pomorzu Wschodnim. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Łódź, 1962. Acta Archaeologica Łodziensia.

odqTosy

str. 7



Nawet kawiarnie w tym mieście noszą imiona kompozytorów. Na zdjęciu: Cafe Mozart — jeden z bardziej ekskluzywnych lokali Wiednia.

Nad pięknym modrym Dunajem^(III)

STANISŁAW
KASZYŃSKI

O czym tu pisać, wychodząc od podtytułu? Książki i czytelnicy... Przypomina mi się w tym miejscu następująca anegdota. Pewien dzień nikarz, przebywający za granicą przez cztery dni nie przysłał korespondencji swojej redakcji. Zapytany o powód, odpowiedział: „Przez te cztery dni nie się tu nie działo, wybuchł generalny strajk. O czym miałem właściwie pisać?” Jestem w podobnej rozterce. Wprawdzie strajku nie ma i bodaj nie zanosi się na taki spektakl, niemniej „jestem w kropce”, jak mawiały pensjonarki za moich czasów, jak napocząć temat tak bogaty, rozległy, pasjonujący. Np. chcę wiedzieć co czyta, poza prasą codzienną i licznymi magazynami, przeciętny wiedeńczyk, czego szuka w literaturze, czy chętnie czyta współczesnych rodzimych pisarzy? Zadaje takie pytania znajomym, wiedząc z góry, że dość trudno na nie odpowiedzieć. Prowadzę nawet małą ankietę, wiem, niedoskonale to narzędzie, jakieś fakty jednak ujawnia.

Proszę pana — opowiada mi bardzo kulturalny, starszy urzędnik — wiedeńczyk mało czyta. Nie tyle z braku czasu czy pieniędzy, lecz z braku głębszych zainteresowań. Literatura zajmuje dalsze miejsce, za muzyką, teatrem, kinem. Z tej przyczyny nieporównanie większą popularnością cieszy się wybitniejszy aktor teatralny niż pisarz. No, nie wspominam wcale o muzykach czy śpiewakach operowych. Ich otacza się u nas niezwykłą czcią, wymienia z sentymentem, ci ludzie mają zapewnione uznanie. Każdy fryzjer czy ekspedient zna ich doskonale. I właściwie nikt nie zastanawia się nad tym, nie sprawdza, czy tej sławie dorównują ich obecne zasługi. W opinii przeciętnego wiedeńczyka Burg jest najzna-

komitszym teatrem, a opera — pierwszą sceną świata. Szczycimy się, nie bez racji, że jesteśmy najmuzykalniejszym miastem i najprawdopodobniej obronimy tę pozycję. (Tutaj przypominam sobie ironiczne uwagi prasy wiedeńskiej na marginesie prospektów niemieckich biur podróży, gdzie jako specjalité de la maison Monachium anonosowano wiedeńskiego Karajana tuż obok bawarskiego... piwa. Cóż za uzurpacja, co za zestawienie!) To nie oznacza wcale — niech pan mnie dobrze zrozumie — byśmy nie byli dumni, że Kafka, Musil, Hofmannsthal czy Bahr, nie wymienianaj wielu innych, uświetnili naszą niemiecką literaturę. Wprost przeciwnie, ale, drogi panie, pisarze zajmują inny, niższy szczebel w hierarchii wartości cenionych przez wiedeńczyka. A współcześni? — pytam. Ależ czytamy ich, trochę, zresztą niech czekają, my mamy słabość do klasyków, udzielamy kredytu zaufania powadze i umiarowi, a twórczość żyjących nie zawsze spełnia ten warunek...

Przyjmuję tę wypowiedź jako jedną z możliwych ocen miejsca i szans literatury w tym kraju: wydaje mi się, że diagnoza ta jest trafna. Ale — co uderza? Ze traktuje się literaturę, pisaną w języku niemieckim, za literaturę po prostu niemiecką. Takie jest, rzecz prosta, mniemanie ogółu, w istocie odrębności są znaczne. Kiedyś zadano Tomaszowi Mannowi dość dziwne pytanie, mianowicie, czy istnieje literatura austriacka. Odpowiedział twier-

dząco, tłumacząc, że jej specyfika polega na cechach charakterystycznych, nie dających się tak łatwo określić. Są to m. in. szczególna atmosfera intymności, miękkość, rzewność, słowem, klimat liryzmu, będący po części odzwierciedleniem „austriackiej mentalności”, w której nie mała rolę odgrywa czynnik słowiański. Milo Dor, pisarz średniego pokolenia, powiedział mi, że Austriacy, w odróżnieniu od Niemców, potrafią o p o w i a d a ć, mają jakby we krwi kunszt narracji. Sprawa zatem jest skomplikowana i niewątpliwie nurtuje w jakimś stopniu świadomość przynajmniej krytyków oraz zainteresowanych instancji. Np. w ubiegłym roku zorganizowano Austriackie Towarzystwo Literackie, które ma za zadanie popierać i propagować twórczość rodzimą w kraju i za granicą. Powołanie do życia takiej instytucji z szerokim zakresem działania, m. in. urzędującego cyklu odczytów z nowszej literatury i dramatu dla młodzieży, jest jednym z dowodów orientacji w tym zakresie, chodził przecież o co szybsze rozszerzenie perspektyw powodzenia rodzimej twórczości w szerokich kręgach. Otóż właśnie, w szerokich kręgach. Przed kilkoma dniami zostałem zaproszony na dyskusję wydawców, usłyszałem bardzo interesujące wypowiedzi również na temat czytelnictwa. Szczególnie zaskoczyła mnie uwaga, że Wiedeń utracił w okresie hitlerizmu ok. 300 000 Żydów, oibrymiał warstwę pilnych i chłonnych czytelników; dodano je

szcze, że dotąd odczuwa się dotkliwie na rynku księgarskim ich nieobecność. W cza sie tej dyskusji podkreślano także, że w Austrii czyta się znacznie mniej niż w innych krajach obszaru języka niemieckiego (Niemcy zachodnie i Szwajcaria), że książka bywa elementem dekoracyjnym mieszkania, służy najczęściej za prezent urodzinowy czy gwiazdkowy.

Dalszą przyczyną takiego stanu rzeczy jest bezsprzecznie wysoka cena książki, mniej więcej 2—3-krotnie wyższa niż u nas. Fakt powszechnie znany, lecz jakże trudno się z nim pogodzić, skoro przyzwyczaiłem się kupować taniej książkę. Przeżywałem tu ciężkie chwile, zatrzymuję się, nie poprawny, przed wspaniałymi zastawami witrin i medytuję, kalkuluję, obliczam gorączkowo i z reguły odchodzę z... zapisanymi tytułami. Przypominam sobie Janka Korprowskiego, który podobnie jak ja teraz, dręczył się, będąc wystawiony na tak potężne pokusy. O piękny Pegazie z ulicy Piotrkowskiej, gdzie jesteś? Zakończył się właśnie dwutygodniowy okres wyprzedaży zimowych remanentów, sporo rzeczy można było kupić rzeczywiście tanio, niestety, nie obniżono cen książek. Wychodzą chętnie z całkiem logicznego założenia, że te wartości są niezależne od pór roku. Hm... Owszem, w dwóch największych domach towarowych, zaprezentowano szereg tytułów, cała oferta w uboższym wydaniu i wy-

zarówno klasyków, jak i pisarzy współczesnych, encyklopedie, słowniki, pamiętniki itp. Co miesiąc zjawia się agent, przyjmuje zamówienia i pobiera składki. Istnieje także niemiecki Klub Dobrej Książki. Głód książek zaspokaja się także poprzez serie „pocketów”, w których specjalizują się przede wszystkim wydawnictwa niemieckie, takie jak Rowohlt, Ullstein i Fischer; Austriacy w tym zakresie nie przejawiają większej inicjatywy. W ogóle, szczególnie tu, odczuwa się, jak prężny jest niemiecki przemysł wydawniczy, rynek jest zaruwany różnorodną produkcją, która zdaniem fachowców, zwycięsko konkuruje z austriacką książką, a to dzięki kilku walorom (ciekawsze pozycje, lepsza szata graficzna itp.). Problem niemieckiej działalności wydawniczej, jej importu, ma wszakże kilka aspektów. Np. twierdzi się, nie bez słuszności, iż Niemcy walczyli się przysłużyli austriackiej twórczości literackiej, zdobywając dla niej poprzez sprawną publikację i reklamę zaszczytne miejsce na rynku europejskim (przekład Roberta Musila). Krótko mówiąc, Niemcy dali austriackim autorom tę niezbędną szansę wejścia na rynek. Austriacy przeto, powtarzają niektórzy, muszą odczuwać wdzięczność. Na wspomnianej dyskusji komentowano z gorącością niemiłąwść tutejszych wydawców w dziedzinie udostępniania najciekawszych rzeczy literackich z naszych państw;

nie, towar osobliwy. W witrinach księgarń można odczytać tytuły, zapowiadające treści zgola brudnawe: pamiętniki hitlerowskich generałów, kroniki złowieszczobrunatnych dywizji albo wspomnienia „bohaterów” łodzi podwodnych czy zrzutów desantowych. W kioskach sprzedaje się również tego rodzaju enuncjacje. Niedawno b. poważny tygodnik wiedeński, „Die Furche”, podał ostrej krytykę czasopisma, ukazujące się w Hannoverze, pod wiele obiecującym tytułem: „Niemiecki tygodnik poświęcony narodowej polityce, kulturze i gospodarce”, gdzie m. in. próbuje się rehabilitować Adolfa Hitlera jako męża stanu czy usprawiedliwić atak Japończyków na Pearl Harbour „tątką wojenną”. „Komu pomaga taki import? — zapytuje „Die Furche” — kto sprowadza to i toleruje?”

Przyjmując nawet, że wiedeńczyk niewiele czyta, to niepodobna twierdzić, iż nie bywa na odczytach. U nas organizuje się rzeczywiście mnóstwo odczytów, ludzie chętnie przychodzą, ale myślę, że takiej lawiny, jaka tu codziennie wpada w tysiące uszu, to jeszcze nie ma. Za dużo miejsca zajęłoby wymienienie instytucji, organizacji czy stowarzyszeń, które prowadzą akcję odczytową. Sądzę, że odczyt w Wiedniu jest formą wyjątkowo ulubioną. Kto wie, czy nie wiąże się to z rozwinęciem życia towarzyskiego i z niekoniętnie snobistyczną skłonnością do bezpośredniego kontaktu ze znanymi osobistościami. Być może. W każdym razie nie odważyłbym się zakładać, że np. na odczyt dyr. K. Dejmkę na temat przyszłości Teatru Narodowego przyjdzie tysiąc osób za płatnym wstępem, jak to było na odczycie dyrektora Burgtheatru. Słuchałem kilkunastu odczytów w wielkich i małych salach, zawsze pełno, kilka razy stałem.

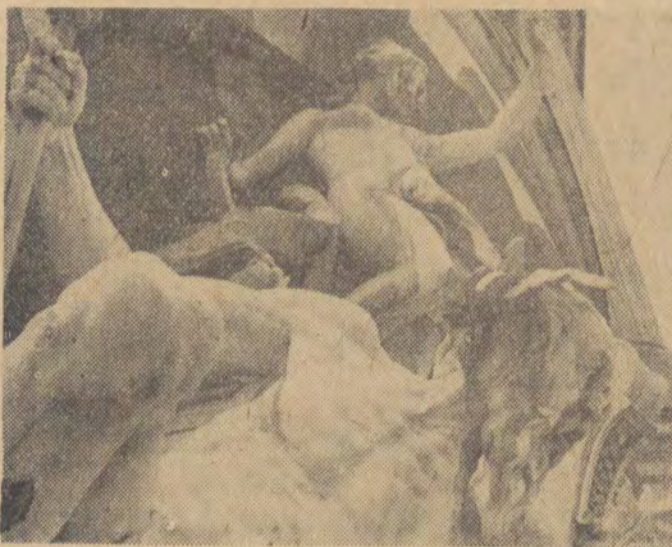
„Siedzę teraz w Bibliotece m. Wiednia, mieszczacej się w Ratuszu. Przeglądam listy i fotografie i aktorów, pieczołowicie zebrane i skatalogowane. 18 grudnia 1844 roku ujrzałem światło tego świata” — odczytuje życiorys, kilka stron dalej — pięknie wydrukowany spis ról, na ostatnim liście — dopisek burmistrza, dyskretna notka: uregulować z miejskiej szkatuły zaległe rachunki u krawcowej i szewca; była przecież ozdoba Burgu! Myślę z gorącością: jaki kłopot z naszymi starymi aktorami, nie poza dziurawą pamięcią, poza strzepami wspomnień. Jestem już w Łodzi i szukam, szukam bezowocnie, kilku dat z tak krótkiej historii naszego miasta. Nie ma, Wiedeński bibliotekarz już wie, że jestem z miasta Łodzi, chce mi zrobić przyjemność, podaje wyciąg z kartoteki — pracował nad nią przez 22 lata — z zestawieniem wiedeńskich koncertów pewnego łodzianina, Artura Rubinsteina...

Książki i czytelnicy

borze. Kiosk wzbudzał nawet znaczne zainteresowanie, co z tego, kilka szkolnych lektur i kryminałów z obnażonymi dziwkami na okładkach. A cena za tomik równa dwóm parom nylonowych pończoch, które sprzedaje się obok... Byłem zaskokowany tym wyważeniem proporcji. Potrzebę dobrej i taniej książki docenia się jednak. Na tym polu działa Klub Dobrej Książki, skupiający obecnie ok. 260 000 członków. Warunkiem przynależności jest opłacanie comiesięcznych składek w wysokości 11 szylingów z koniecznością wykupywania co trzy miesiące książki za uszładaną sumę. Klub wydaje kwartalnik, każdy członek otrzymuje go bezpłatnie, zamieszcza się w nim recenzje i spisy pozycji, które drukuje się wyłącznie dla członków. Można dostać

Austrię ze względu na swe położenie geopolityczne winna być przekaznikiem twórczej myśli z naszych stron. Tych możliwości zupełnie nie wykorzystano i niewiele się robi w tym przedmiocie i kierunku. Poza Brandstaetterem, który niemal sam jeden reprezentuje naszą współczesną literaturę w Austrii — jakże to mało — nie wydano tu raczej innego polskiego pisarza. Dwa wybory polskich opowiadań (G. Hagenau i M. Ranieckiego), Kolakowski, Mrozek, Odziejewski i in. ukazywali się w Niemczech zachodnich. Są to fakty niezbyt wesołe dla ludzi, którzy pragną odpróżnić i racjonalizować ten stan rzeczy.

Z drugiej strony pewna część zachodnioniemieckiej produkcji wydawniczej proponuje, wyrażając się oglę-



W samym śródmieściu spotykamy rzeźbę, która zdobi stare cesarskie pałace...

Fot. W. Machejko

Tajemnice ulicy Żelazników



(Dalszy ciąg
ze str. 1)

nich bystre, przebiegłe oczy. Każde jego wystąpienie działało na nich jak haszysz. Umiął porywać tłumy, a przepowiadał im wizje świetnej przyszłości — marsze, pochody, capstrzyki, a potem nowe podboje. A więc wszystko to, czym przez wieki karmiono Niemców od kołyski do grobu.

Dwaj podróżnicy, którzy za pukali kiedyś do drzwi mieszkania Ralfa Bergera musieli odbyć daleką podróż. Nie ogoleni, w wygnieciowych ubraniach, zakurzonych butach, zwracali na siebie uwagę. Zwłaszcza ten młodszy dotkliwiej odczuł niewygody podróży. Był inwalidą. Rękaw marynarki zwiślał luźno, ale w każdym jego ruchu widać było woj-skowy dryl.

— Martin, pewny jesteś, że to tutaj? — spytał inwalida.

— Tak, na pewno. Pukaj, niedobrze żeby za dużo ludzi nas widziało. Lepiej nie kusić licha — szepnął mężczyzna nazwany Martinem.

Inwalida zapukał, a potem nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Wszedł do małej sionki starannie zamykanej za sobą drzwiami.

— Kto tam? — usłyszeli głos mężczyzny z pokoju.

— Tak, to on, poznaję po głosie — mruknął inwalida. Drzwi od pokoju otworzyły się i na progu stanął Ralf Berger.

— Panowie do kogo? — spytał, mrużąc oczy, gdyż w sionce było ciemno.

Martin postąpił krok naprzód i wyrzucił rękę w nazistowskim pozdrowieniu. — My do ciebie, Erichu — powiedział cichym głosem, a później już głośniejszym: heil Hitler!

Inwalida patrzył na gospodarza i wzruszony szepnął — „mój boże” Erich Koch żyje.

Ralf Berger vel gauleiter Erich Koch rozejrzył się trwożliwie. Oczy mówiły: diable was tu przynieśli, a postawą swoją dawał do zrozumienia, że nie ma bynajmniej zamiaru zapraszać tych gości do mieszkania. Przyjął postawę wyczekującą.

— Cóż to, nie poznajesz starych towarzyszy? — zdziwił się Martin — a może trzymasz z „nimi” — dodał znacząco. — Dziś wszystko możliwe — westchnął ironicznie.

— Proszę, wejdźcie — mruknął gauleiter.

Koch słuchał wspomnień Axmanna i pochlebstw Bormanna. Zastanawiał się, jaki jest rzeczywisty cel ich wizyty. Oto siedział naprzeciw niego Martin Bormann, zmieniony, ucharakteryzowany, ale zawsze ten sam Bormann, pochlebca, intrygant, specjalista od afer, ten Bormann, który do stycznia 1945 roku był jednym z jego najlepszych przyjaciół i moim protektorem u fuhrera w licznych sporach z Rosenbergiem i innymi dygnitarzami. Zawiodł się na nim dopiero w styczniu,

gdy Hitlerowi przedstawił swój plan kontrofensywy na Wschodzie. I wtedy właśnie ustalili, że Bormann jest szpiegiem. Dowody były skąpe, zabrakło czasu na zdemaskowanie go. Ale dziś władza Bormanna skończyła się. Teraz go zdemaskuje. Przedtem jednak postanowił wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji. Już przed klęską Niemiec żył w odosobnieniu kierując obroną Prus Wschodnich i Królewca, stracił kon-takty, łaknął więc wiadomości, niczym ryba wody. Gazety podawały codziennie obszernie sprawozdania o szczegółach śmierci Hitlera, ale im nie wierzył. Czuł,

że Bormann szykuje jakąś nową intrygę i do zrealizowania jej potrzebuje jego pomocy. Pomocy Axmanna również, bo nie wątpił w uczciwość i wierność do NSDAP tego człowieka. Znał go zbyt dobrze od lat. Teraz, w obecności tych dwóch, Koch z zaszczutego hitlerowskiego przestępcy poszukiwanego przez aliantów znów stał się potężnym gauleiterem.

— Tak, tak, ciężkie czasy — zaczął ostrożnie Koch — jeszcze jedną wojnę prze-graliśmy. Jak nie mieliśmy jej przegrać, skoro zdrada czaiła się wszędzie. W sztabach i urzędach. Generalo-wie? Tym się nie dziwię — stali wiernie u boku fuhrera, gdy odnosiliśmy sukcesy, skoro jednak zaczęły się klęski, przeszli do obozu zdrady. Dziwię się — gaulei-ter spojrział na Bormanna — członkom partii. Nie, nie tym z dołu. Postawa zwykłych członków partii — żołnierzy, przeciętnych mieszczuchów i chłopów, robotników, całego narodu, była wspaniała. Dzięki temu odnosiliśmy zwycięstwa. Ale zdrada czaiła się wśród gór-y partyjnej — wrzasnął tak głośno, że aż się przestraszył, aby go ktoś obcy nie usłyszał — w najbliższym otoczeniu fuhrera! I zbie-

rała obfite żniwo — znów spojrział na Bormanna. Ale on nie rozumiał, albo nie chciał zrozumieć, że Koch kieruje zarzuty pod jego adresem.

— Dziś widać — odezwał się Axmann — że błędem fuhrera była ofensywa w Ardenach, odpędzanie Amerykanów. Wszystkie siły należało przerzucić na front wschodni.

Koch zerwał się z krzesła i jak to niegdyś było w jego zwyczaju zaczął chodzić wielkimi krokami po pokoju.

— Błędem fuhrera — zaczął znów Koch — albo raczej jego doradców, którzy go namówili na tę imprezę. Kosztowała nas kilka armii, stratę cennego sprzętu i wiele tysięcy istnień ludzkich. Sam kwiat młodzieży, najwierniejszej i najsłabszej, najniebezpieczniejszej i najniebezpieczniejszej, zgrzytnął zębami aż mrowie przeszło Axmanna. Gauleiter zrobił jeszcze jedną rundę wokół stołu i usiadł.

— Hitler był nieufny, podejrzliwy, a przy tym taki la-twowierny — wtrącił Axmann — ale myśmy tu przyjechali radzić nad nowymi Niemcami, nad reaktywowa-niem partii, później będziemy rozstrząsać błędy.

Czuł, że tych dwóch lu-

dzi, którzy nie tak dawno jeszcze byli serdecznymi przyjaciółmi, żywi do siebie jakąś starą urazę. Wraz ze śmiercią fuhrera, znikły hamulce. Konflikt mógł wybuchnąć w każdej chwili. Dlatego wszystkimi siłami, starał się nie dopuścić do kłótni. Jego drobnomieszczańskie umysł nie był w stanie wchłonąć tych wszystkich subtelności i niedomówień, jakimi wypełniona była rozmowa dwóch dygnitarzy. Jego dewizą było walczyć. A gdy został kaleką, w nagrodę otrzymał kierownictwo nad hitlerowską młodzieżą. Na tym stanowisku z trudem przedzie-rzał się przez gąszcz politycznych subtelności i zawiłych intryg.

Bormann przerwał spacer po pokoju i ościężale usiadł na okrągłym krześle zwracając się do Kocha:

— Fuhrer w testamencie naznaczył mnie swoim następcą w partii. Wysłannicy, którzy wynieśli kilka kopii testamentu zaginęli wraz z dokumentami. Ale Artur poświadczy, że mówię prawdę.

Axmann w milczeniu przytaknął głową.

— Co zamierzacie robić? — spytał Koch.

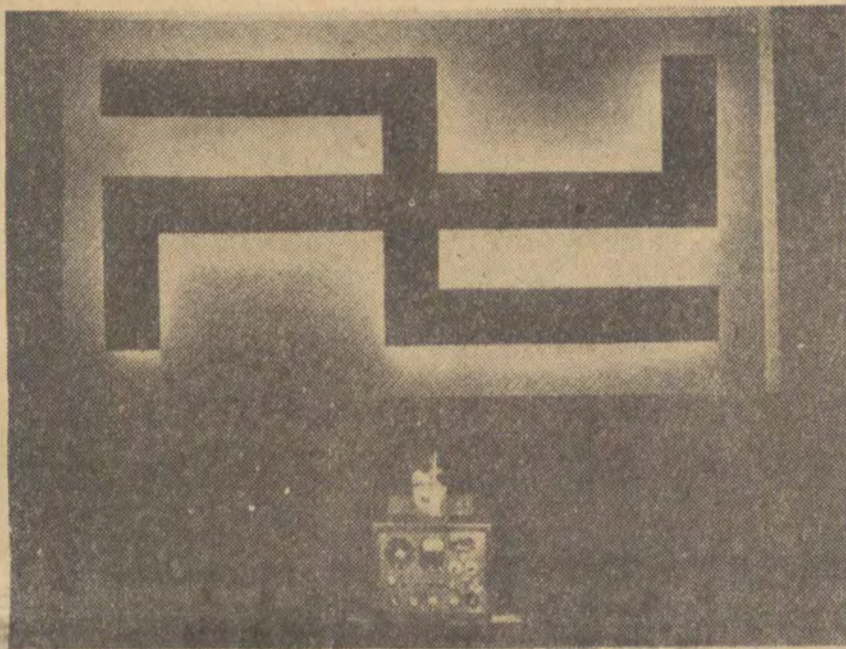
Bormann milczał. Zbierał myśli, coś rozważał. Po chwili zaczął, jak było w jego zwyczaju, od górnolotnych słów:

— Naszym świętym obowiązkiem jest wykonać wolę fuhrera. Trzeba reaktywować partię, teraz, we wszystkich strefach okupacyjnych. Zrobilem już dużo. Powstają bojówki, mam kontakt z grupą SS obersturmbanfuhrera Ringela w Królewcu.

Koch ożywił się. — Co tam słychać? Bołszewicy zaczynają wysiedlać ludność do Niemiec. Prasa podaje, że miasto zaludniają swoimi kolchoznikami.

— Twój „Park Hotel” prze-mianowali na hotel „Moskwa” — zaśmiał się Bormann. — Ale wracajmy do tematu. Otóż, jak już ci mó-

Dalszy ciąg
na str. 10



WIESŁAW JAZDZYŃSKI

NIE MA POWROTU

STRESZCZENIE

Jest okupacja, rok 1943. Dwaj przyjaciele uciekają z rodzinnego miasta. Grozi im bowiem aresztowanie, jak zresztą wszystkim uczestnikom polskiego ruchu oporu przeciwko faszystowskiemu. Jednego z bohaterów, Justyna, czytelnicy znają już. Wiadomo, że mieszka w głębi lasów, w opustoszałym dworze. Uczy tam „połomików” — starego „rodu” — romansuje, zaczyna bawić w okolicznych dworach, zdobywa broń i aparaty radiowe, zyskuje nowych przyjaciół, aż wreszcie... jednak nie uprzedzajmy wypadków. Cierpliwie czytelniku pozna niebawem perypetie Justyna i — być może — da się przekonać, że nie należy życia brać tak jak ono leci, trzeba wybierać, nieustannie wartościować, trzeba samemu tworzyć własne życie. Czy Justyn słusznie wybiera, czy nie pobił? Czy uda mu się rozwiązać konflikty, które sam spowodował?

Justyn zaniepokoił się.

— Jakim cudem zamelduje, do lasu pójdzie?

— Bez cudów, kochany. Nie pytaj fizyka o cuda, bo ci powie, że świat to mechanika, termodynamika, energetyka i polityka. Tluste kap-

łony, cielątka, wołki, drób i nalewki płyną do obozu z tego oto dworu hrabiego Izzydora. Takie same dobra przewozi Ryż Julek do Ostachowa. Słyszaleś o Ryżym Julku? To najgorsze bydlę w całej żandarmerii hitlerowskiej. Spytasz też pewnie, co ma z tego hrabia? Dużo ma, bardzo dużo. Jest po pierwsze zwolniony z kon-tyngentów na rzecz Wielkiej Rzeczy, a po drugie pozostaje patriotą, wspiera ruch podziemny.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — Mamy dobry wywiad, Tadzio nam powiedział i na tym polega szczególna rola lokajów i służących, którą ty znasz tylko z literatury dla gimnazjalistek.

Usłyszeli pukanie.

— Antre! — krzyknął Konrad.

W drzwiach przystanął Tadzio.

— Pan hrabia prosi pana profesora z Zalesia do gabinetu.

Gabinet hrabiego przesycał rozbijającym zapach starych mebli. Tylko zapach w miękkim fotelu i głęboko od-

dychać. Wilczkowie pełnili się w przeszłości bardzo bujnie. Ze wszystkich ścian patrzyły na Justyna ich oczy. Portrety wisiały zwartymi szeregami. Wilczkowie przy szablach, obok konia, na koniach, przed połowym ołtarzem, przy trumnie podłego bismarcka, na grobie wierne go przyjaciela, który padł w boju, Wilczkowie w stepie, błogosławieni przez opatrność w kształcie trójkątne-go słońca, Wilczkowie niosący wolność brankom brany w jasyr, Wilczkowie jako towarzysze pancerni, pułkownicy husarii, oficerowie napoleońscy, powstańcy i legioniści Piłsudskiego. Justyn nie zauważył ani jednego Wilczka w cywilu, prócz hrabiego Izzydora, który stał za biurkiem, przy kasej pancernej.

— Proszę siadać, tykniemy po jednym, co?

Justyn milczał.

— Chciałem pogratulować panu doprawdy niezwykłego talentu pedagogicznego. Zdołał człowiek nie może się ukryć, na nie tu skromność i na nie milczenie. Wystarczy tylko przejechać przez pusty las, aby usłyszeć o pana zdol-

nościach coś bardzo przyjemnego.

Justyn schwycił aluzję, hrabia wie o jego wykładach w lesie, Wilczek otworzył kasę pancernej. Panował w niej ład nie mniejszy niż na ścianie. Paczki pieniędzy leżały obok siebie równo poukładane.

— Wynagrodzenie za pracę u mnie, to sprawa inna, pan mnie rozumie, zaraz to zresztą załatwimy — Wilczek położył na biurku paczkę banknotów pięćsetzłotowych, na zrywanych popularnie góralami — chciałbym od siebie zapytać pana, to nie zobowiązującego, widzi pan... chodzi o rzecz dla mnie bardzo ważną, pan jest człowiekiem młodym, utalentowanym, panu warto pomagać... co by tu jeszcze... pan uczy moich bratanków, przepadają za panem, i moje dzieci pan uczy, moich przyjaciół. Pytam prosto, jesteśmy tu sami, nie z tego, co sobie tu powiemy, nie wyjdzie poza ściany gabinetu. Czy mógłby pan uczyć inaczej, pan mnie rozumie, prawda? No i ile to ma kosztować?

Justyn wyciągnął z paczki jednego „górala”.

— Poglądów nie można ku-pić, panie hrabio.

Wilczek uśmiechnął się przyjaźnie.

— Pan się droży, słusznie, jest o co. Więc?

— Powiedziałem już panu hrabiemu. Uczę zgodnie z programem i zgodnie z za-leceniami władz oświatowych, pan hrabia rozumie, że nie można fałszować ani naszej literatury, ani historii.

Wilczek nie tracił życzli-wości dla Justyna.

— Zgoda, jeśli chodzi o fakty, ale interpretacja? Są różne szkoły literackie, o ile wiem, co innego Kleiner, co innego ten komunizujący Ignacy Fik, prawda? Widzi pan, ja jestem jedynym Wilczkiem, który zaglądał czasem na Uniwersytet Jagielloński więc wiem, że można uczyć według Brzozowskiego, ale i według przynależności i wy-bierać dla naszego wspólnego dobra?

— Właśnie wybrałem, panie hrabio. Są przecież inni nauczyciele.

Justyn odwrócił się i zmie-rzał w stronę drzwi. Wilczek zatrzymał go,

— Uwielczkę, muszę pana ostrzec. My znamy inny pa-na wybór, mogą więc zająć oko licznosci, wobec których nawet ja będę bezradny. Proszę wziąć konie do Zalesia, dziękuję za to, co zechciał pan zrobić dla moich dzieci.

Kamienna twarz Wilczka, oderwana od reszty ciała, zdawała się płynąć nad płonącymi świecami.

— I ja dziękuję.

Justyn zamknął drzwi i pobiegł do przyjaciół. Na stole zastał kartkę. „Ponieważ wierzymy, że się uczyniemy, posłaliśmy do proboszcza na karciochy, mamy zamiar wygrać dużo talarów na wódkę dla ciebie. Przy-bywaj konfratrze, a rychło, bo gąsiorki szybko wysychają w naszej obecności!” — pisał Marek.

Spakował chudy dobytek, wsunął teczkę pod pachę i nie żegnając się z nikim opuścił dwór. Nad drogą wisiało ciężkie słońce, jeszcze kilka minut, może kilkanaście i spadnie za lasy. Z knajpy „Pod Olchą” dobiegały wesołe okrzyki i śpiewy.

Biegł szybko przez wieś, minął knajpę nie oglądając się za siebie, biegł jeszcze wzdłuż cmentarza, wdrapał się dysząc ze zmęczenia, na

Dalszy ciąg
na str. 10

odgłosy

str.
9

TAJEMNICE ulicy ZŁOCZYŃCÓW

Dalszy ciąg
ze str. 9

wiliśmy, reaktujemy partię. — Bormann przerwał i spojrzał na Kocha, jak gdyby spodziewał się jakiegoś pytania, ale gauleiter milczał. Po chwili znów zabrał głos — Czy możemy na siebie liczyć?

— No tak, oczywiście — przytaknął ogólnikowo Koch. Powiedz wreszcie, na czym ta pomoc ma polegać. — Do wznowienia działalności, pracy ideologicznej i dywersyjnej potrzebne są pieniądze — zaczął szeptliwym głosem Bormann — pieniądze liczą się wszędzie i zawsze. Bez nich załamuje się każda praca ideologiczna.

Koch nastawił uszu. W sprawach finansowych był szczególnie uczulony. Nie szastał nigdy pieniędzmi, a jeśli je dawał, to w określonym celu i z myślą o pomnożeniu kapitałów. Lubiał zawsze grać bez ryzyka i hazardu. Teraz zorientował się, że Bormann przyjechał wyłudzić jego ukryte kapitały i kosztowności. Uśmiechnął się ironicznie.

— Przecież Axmann wspomniał, że fundusze są — spojrzał na ostatniego przywódcę młodzieży hitlerowskiej.

— Posłuchaj Erichu — Bormann niecierpliwie machnął ręką.

— Pieniądze są, to prawda. W bankach szwajcar-

skich, w Południowej Ameryce na hasło otwierają się safesy pełne złota, dolarów i funtów szterlingów. W tej chwili nie możemy jednak korzystać z tych kapitałów. Szpierzy aliancy urządzili na nas polowanie. W ostatnich dniach wojny ludzie Himmlera ukryli w zawczasu przygotowanych miejscach olbrzymie ilości złota, kosztowności, papiery wartościowe i obce waluty. Cóż z tego, kiedy emisariusze Himmlera zniknęli. Wiele zginęło, część dostała się do niewoli i siedzi pod fałszywymi nazwiskami w obozach jenieckich, inni uciekli do różnych republik Południowej Ameryki. Najgorsze, że wszyscy oni nie kwapią się z ujawnieniem majątku Rzeszy. Liczą, że za kilka lat zagarną to wszystko jak swoje własne.

Koch uznał, że ostatnie zdanie z tej przemowy było ostrzeżeniem pod jego adresem.

— Żyję tutaj jak nędzarz. Wszystko co miałem, fabryki, majątki, zabrał Roski! Jestem goły. Czegoż więc chcesz ode mnie — zdziwił się gauleiter tak naturalnie, że najlepszemu obserwatorowi, mógłby wprowadzić w błąd Ale Bormann nie dał się zbić z tropu.

— Nie myśl sobie, że chcę od ciebie nawet jedną markę — powiedział — choć mógłbyś dać gdy partia jest w potrzebie. Partia ci dała kiedyś te majątki, a stałeś się najbogatszym Niem-

cem na Wschodzie, wiem, że masz dobrze ukryte setki tysięcy dolarów i funtów, biżuterię i sztaby złota.

Koch podejrzliwie spojrzał na niego i znów zaczął swój spacer po pokoju.

— Wiesz, a skąd? — spytał nagle zaciekawiony.

— Mniejsza z tym — Bormann z rezygnacją machnął ręką.

— Chodzi o coś innego. Na krótko przed kapitulacją Królewca zażądałeś od fuhrera kilku zaufanych ludzi do ukrycia majątku Rzeszy. W łodzi podwodnej przedarł się do miasta SS obersturmbannfuhrer Ringel wraz z dziesięciu ludźmi swego kommando. Ukryli kosztowności z jedenastu banków królewskich. Miliony funtów szterlingów, miliony dolarów, złoto, papiery wartościowe, kasety brylantów — wszystko to wstawiali do zakamupowanych bunkrów.

— Masz świetne informacje — uśmiechnął się Koch.

— To jeszcze nie wszystko — odciął się Bormann. Ringel i jego ludzie schowali przed Sowietami ogromnej wartości galerię sztuki, a wśród nich słynną burzynową komnatę, której wartość twój uczonec z Królewca doktor Alfred Rohde określił na pięćdziesiąt milionów dolarów w złocie. Dalej, ukryli oni bezcennej wartości archiwum państwowe i partyjne. Chodzi nam o odzyskanie tego majątku. To jest własność państwowa — powiedział Bormann tłumiąc wściekłość. Rozmowa stawała się coraz ostrzejsza i lodowata.

— Przecież nie ja ukrywałem, tylko ów esesman Ringelock czy też Ringel — Koch starał się zbagatelizować całą sprawę. Ja przy tym nie byłem. Spytał jego, mówili, że jest w Królewcu i kieruje Wehrwolfem, Masz z nim chyba kontakty?

— Wiem, że masz plan Królewca, na którym nanieśiono bunkry — kontynuował Bormann. Potrzebny nam jest. To jest majątek Rzeszy i partii i musi być zwrócony — Bormann uderzył dłonią w stół — i wróci — powiedział.

— Ja tego nie mogę zrobić — Koch wolno cedził słowa — słuchaj Bormann, czas wyłożyć karty na stół. Z czyjego polecenia ty teraz działasz?

— Jak to z czyjego polecenia? Nie rozumiem? — zdziwił się.

— No tak z czyjego polecenia. Byłeś kiedyś moim największym przyjacielem obok Rudolfa Hessa. Darzyłem cię zaufaniem. Fuhrer darzył cię zaufaniem, słuchał twoich rad. A ty, jak tyś mu się odplacił? Jak odplaciłeś się narodowi? W imię jakich ideałów i dla czego byłeś szpiegiem?

Oskarżenie uderzyło ich jak bicz. Axmann wytrzeszczył na Kocha oczy. Bormann siedział jak skamieniały. Chciał protestować, ale gauleiter krzyknął:

— Martinie Bormannie oskarżam cię o zdradę ojczyzny! To tyś napuszczał fuhrera na różne przedsięwzięcia, z góry przegrane. Ty ponosisz odpowiedzialność za wzmówienie Hitlerowi, żeby zdobył Stalingrad. Wykorzystałeś jego py-

chę i próżność. Wraz ze mną oskarżają cię ci wszyscy, którzy tam zginęli.

Bormann zerwał się z krzesła i podskoczył do gauleitera. Z kieszeni wywarpnął rewolwer.

— Ty świnio — wrzasnął — zastrzelę cię jak parszywego psa!

Z dystygnowanego dygnitarza partyjnego w jednej chwili zmienił się w opryska. Widocznie gauleiter wiedział gdzie uderzyć i cios dosięgnął Bormanna w jego najczulsze miejsce i gauleiter drażył zadana ranę.

— Nie zastrzelisz — rozśmiał mu się w twarz Koch. — Ja jeden mam plan bunkrów z ciężkimi milionami dolarów. To zbyt nierówna stawka. Schowaj pukawkę. Gospodarz cię usłyszy i sprowadzi Anglików.

Axmann wpadł między nich. Jego ciężki umysł zaczął się wreszcie czegoś domyślać.

— Panowie uspokójcie się — prosił — Martin, schowaj rewolwer. Ciężkie są zarzuty gauleitera Kocha, ale

należy go wysłuchać. Później ty będziesz mówił.

— Tak, tak, jeśli przed godziną mówiłem o zdradzie w najbliższym otoczeniu fuhrera, to właśnie ciebie miałem na myśli. Przecież to był twój pomysł z Ardenami. Hitler powiedział mi to w oczy, a ty stałeś obok. Tyś obiecał poprzeć u niego mój plan kontrofensywy i przerzucenia armii otoczonej w Kurlandii do Prus Wschodnich. A gdy zostałeś z nim sam zasugerowałeś, aby blisko osiemset tysięcy ludzi i sprzętu zostawić jako straszak na Szwecję. Bo wypowie nam wojnę — argumentowałeś. Dziecko by się uśmiechało! I to też Hitler powiedział mi przy tobie. Zrobiłeś głupią minę. W drodze powrotnej do Królewca skonfrontowałem różne wydarzenia z twoją osobą. I wtedy ujawniłem twoją rolę. Nie miałem jednak bezspornych dokumentów. Musiałem wracać aby bronić Królewca. A później nastąpiła klęska. Teraz znów jesteś, choć oficjalnie zginąłeś przy próbie opuszczenia Berlina. Chcesz wyłudzić ode mnie ten plan, aby nie stracić łask u swoich mocodawców. Albo liczysz na nową wojnę i myślisz, że to wszystko zagarniesz. A teraz precz! Axmann zostanie. Ja też mam broń — Koch wyjął rewolwer. No jazda, zabieraj się. Niestety, nie mogę cię „załatwić”, żyję jak zwierzę ścigany przez myśliwych. Choć może lepiej byłoby pozbyć się ciebie.

— Axmann, chodź — powiedział Bormann — ale jeszcze tu przyjdziemy.

Axmann zostanie — krzyknął Koch — ja byłem jego gauleiterem i ja decyduję. Już cię tu nie ma!

— Axmann, chodź — zwrócił się od drzwi Bormann. Wychodził tyłem, trzymając Kocha na muszce rewolweru.

Axmann stał niezdeterminowany. Wreszcie rozłożył ręce, a gest ten oznaczał, że nie może iść.

— Spotkamy się za dwa dni w Hamburgu — powiedział — tam gdzie zawsze.

c. d. n.



Dalszy ciąg
ze str. 9

piaszczyste wzgórze i dopiero tu usiadł, aby odpocząć. Nie słyszał już śpiewu. U stóp ciągnęły się smugi lasów. Białopienne szereg brzoź, pasmo nagich jeszcze olch, długie i poskręcane, posłuszne kapryśnemu biegowi Czarnej. Za nimi zwarta ściana zielonej młodej sosny, kepy świerków i rude przestrzenie bagien. Daleko, na wzgórzu zacieśniał się powoli w wieczornej mgie zalesiański pałac.

Usiadł pod samotną sosną. Wilczek groził i żądał. Groził konsekwencjami ze strony Zbika Wielkiego, żądał, by podawać we dworze taki światopogląd, za jaki hrabia zdecydował się zapłacić. Ale co ma do tego wojsko? Przywołał na pomoc wszystkie autorytety. Najpierw ojciec, mądry, naszpikowany kulami kilku wojen, ojciec. On zawsze podkreślał, że wojsko jest absolutnie bezpartyjne, apolityczne, zajmuje się wyłącznie obroną wolności, lub jej wywalceniem. Wodzo- wie poszukują miejsca na polskie kości, dbają, aby w poważniejszych wojnach nie zapomniano użyć polskiej szabli. Kształt społeczny ojczyzny? To już sprawa polityków, oni zaczynają pracę,

kiedy ją skończy żołnierz. Tak może być, ale już nie jest. Dobrze, niechże więc nie będzie. W lasach siedzi nie jedno wojsko, ale kilka, każde ma jakiś swój światopogląd. Z tego wynika, że idąc dziś do wojska, wybieramy światopogląd. Jak się wybiera światopogląd? Kto go ma? Ksiądz prefekt przypominał na początku każdej lekcji, że uczeń musi pana boga kochać, to pierwsze, po drugie wspierać Stronictwo Narodowe, a po trzecie zwalczać żydo-komunę-masonerie. Wielec prefekt miał światopogląd. Po nim przychodził przyrodnik, żartował sobie z aniołków w niebie i diabłów w piekle, uczeń musi kierować się rozumem, racją na pierwszym miejscu, a nie mitą, a po drugie uczeń musi popierać postępek we wszystkich dziedzinach. Wielec przyrodnik też miał światopogląd. I polonistka, ponieważ twierdziła, że Polskę ogłupia kler. A dyrektor to nie? Naszym największym nieszczęściem jest rozwydrzone partyjniactwo, tylko obóz wielkiego marszałka Piłsudskiego może zaprowadzić porządek w kraju. Matematyk zupełnie innego był zdania — każdy szanujący się naród poradził sobie ze złaczką i rządami wojskowymi, tylko Polska toleruje tych, warcholów i krzywdzicieli zwykłych ludzi.

Jakiego zdania był Justyn? Tego nie wiedział. Chciał, żeby go pozostawiono na drogach, które kochał. Gdzieś one przecież są, jeżeli znał je prefekt, przyrodnik, Wilczek, Marek, jeśli znał go tytuł ludzi, znajdzie pewnego dnia* i on.

* * *

— Kiedy pojedziesz? — Nie pojedę. Zbik Wielki o mnie zapomniał.

— Łudziś się, przypominaj sobie. Jestem zwykłą kurą domową, ale ja wiem na pewno, to jest dziwna wojna, może nawet więcej w niej polityki niż strzelaniny.

Justyn pochylił się nad jej piękną twarzą. Za oknem szalały wiosenne wiatry, szumiały drzewa w lasach, których Justyn nienawidził. Od czasu przyjazdu do Zalesia nie ruszył się z dworu. Próżno Barnaba domagał się spaceru, bez skutku proponowali mu obaj Wilczkowie wycieczki nad stawy, ukryte w głębi lasu, do starej karczmy, gdzie pili podobno kiedyś sławni panowie Sulerzyccy z Kurzelowa. Justyna przestała ciekawie krwawe dzieje siostry Kolałaja, która podobno tu, w Zalesiu, otruła uciekających konfederatów barskich i zabrała im olbrzymie skarby. Nie chciał szperać w lochach pod palacem, miał dość tej atmosfery, która oplatała stare domy, tych duchów straszających, tych klechd o wierności i męstwie, dziwactw nie spotykanych nigdzie w normalnym świecie.

Uśmiechnął się do Madam. — Jest i normalna tylko wtedy, kiedy cię kocham.

— Przesłań! Łapy przy sobie! Pojedziesz do Radłowej. Piękny dwór na wzgórzu, przypomina trochę Zalesie, to jest majątek mojej ciotki. Wyszehorska, może styszałeś?

— Owszem, obito mi się o uszy.

— Nie tak stąd daleko, po drugiej stronie Ostachowa, masz rower, zajedziesz w ciągu dnia. Wolę cię str-

cić do końca wojny niż na zawsze.

— Już ci mówiłem, nie pojedę do żadnego dworu.

— Pojedziesz miły, pojedziesz. Weźmiesz sobie stąd podręczniki, cała inteligencja uczy się teraz angielskiego.

— Wolę już studiować rosyjski, krasna armia nadchodzi.

— Mylisz się, oni tu nie przyjdą, dobra nowina przyłeci z zachodniej strony. Czy sądzisz, że mogłabym żyć, gdyby nasz świat rozparcelowali chłopcy?

— Myślisz, że Rosjanie nie będą się tobą zajmowali specjalnie, mają trochę swoich spraw do załatwienia.

— Chciałabym wrócić już w rodzinne strony. My zawsze żyliśmy trochę wstecz, ojcem, dziadkiem, pradziadkiem, zawsze miałam poczucie, że jestem po kimś, dziś już zresztą ostatnia. Takie poczucie mieszka w domu, albo tęskni za domem. Nasz dom stoi nad Horyniem, jest cudownie biały, pełen zakamarków. Z mojego okna widziałam stare, pochylone karmarki, to są takie, wiesz może, krzyże o dwóch poprzecznikach, trafiają się i tu w herbach świętokrzyskich, miały strzec przed morowym powietrzem. Krzyże stały szeregiem nad głębokim jarem, dalej ciągnęły się nasze pszeniczne pola. Nasz świat kończył się kapliczką, stawiał ją sławny Korygiełło, rycerz Witolda, zaraz jak przyjął chrzest, spóźnił się trochę. Nie poznałam jeszcze wszystkich z tajemnic swojego domu, w każdym pokoleniu wyrzuca się coś na szych, żeby potem odkrywać skarby, myślę, że niejedno czeka nas

w lamusie i piwnicach. Moja matka przechowywała pamięć, to były niezapomniane wieczory, kiedy mówiła o naszym domu. Może ja cię nudzę?

— Ależ nie, to bardzo ciekawe.

— Powiem ci jeszcze o matce. Cudowna gospodyni, robiła nam co niedziela suropieki, kucharz, kuchelki, nie nie mieli do gadania, sama wszystko robiła. Marynata też. Wypijałam cudowny kaszanat w którym pływały borowiki, sam ocet, sól, pieprz, biały rozmaryn. Pomyśl tylko, mama gra na fortepianie, ojciec czyści broń, a ty się skradasz do spiżarni. Potem odbywały się sławne u nas konfessaty. Kłamałam, jak mogłam, miałam do wyboru, albo libera confessata, albo konfessata torturata. Stosowałam torturę polegało u nas na kaszce z mlekiem przez kilka dni. Tak, czy inaczej kończyłam przy starym pultrynku, musiałam wyszywać, jak moje babki, prababki, chciałam już tam wrócić.

Moje małżeństwo nie było udane. Na oko wszystko było w porządku. Ernest wodził się ze znanej w naszych stronach rodziny Swieborowskich, ale on służył w wojsku. Ułan, cała nasza młodzież szła do ułanów. Ja lubię życie proste, chodzi mi o jakąś trudną do nazwania harmonię. Pomyśl, co to jest właściwie rok? To są imieniny matki, ojca, święta matek bożych, pory roku, praca w ogrodzie na wiosnę, latem wozy pełne wionego siana, grzybobranie jesienią i polowania, kiedy panowie zjeżdżają z całej okolicy, gotujemy wtedy całe kociołki bigosu, wynosimy gąsiora z piwnicy. To wszystko jest

cudownie proste, jeszcze jakieś chrzciny, a nawet pogrzeby, proste i bogate. Nie rozumiałam Ernesta, on szukał czegoś więcej, a przecież miał wszystko. Dla niego nie nie mogło być tak, jak było, musiało się zmieniać. Nienawidził starych mebli, posiedmi mi szablą pultynek, sprowadził z Warszawy architekta nowomodnego i postawił dom, żaden korytarz nie zaginał się, nie było piwnicy, tylko pralnia, nie było strychu, tylko taras, nie było schowków, żadnego ulubionego kąta, nie mogłam w tym pudełku żyć. Chciałabym już wrócić do siebie, z tobą, jeżeli mnie będziesz chciał.

Justyn przypadł do jej rąk, odwrócił szybko twarz i podszedł do okna, nie mógł dopuścić, aby spostrzegła jego przerażenie.

— Na razie jednak bądź grzeczny i jedź do ciotki Wyszehorskiej, wyborne towarzystwo, jest tam wschodząca gwiazda na firmamencie politycznym pan Ejgird, jest też...

Barnaba warknął głucho. Justyn wrócił do okna.

— Mam gości!

Wybiegł przed pałac. Z brzycki wyskakiwali zbiegnięci przyjaciele.

— Wódki! — dopominał się Marek — ledwie przejechał ten syberyjski las. Co za cholerny kraj! W lecie za gorąco, w zimie za zimno, a teraz ni ples ni wydra. No, możecie nas uścisnąć bohaterze!

TELEwizja

ŚWIĄTECZNY PRZEKŁADANIEC

Na szczęście, święta już minęły. Teraz będziemy przy najmniej, przez tydzień wykańczać zapasy szynki, kiełbasy, bigosów, lukrowanych bab, mazurków i tych wszystkich innych różności, którymi nasza bogata tradycja polska kazała nam uświetnić swoje stoły. Chcielibyśmy jednak, aby święta trwały nadal, ale... w telewizji, gdyż z przyjemnością należy wspominać telewizyjny program wielkanocny, który był równie urozmaicony jak nasze świąteczne zastawione stoły.

Trzeba przyznać, że tym razem telewizja przygotowała się nie najgorzej, dając swoim widzom dobrą porcję dobrego programu. Miła niespodzianka. Ja na przykład, obawiałem się poważnie tele-rekordingu i wznowień, tak przecież było w czasie świąt zimowych, lecz nie nas z takich brzydkich rzeczy nie spotkało, ani jednego powtórzenia, wszystkie pozycje nowe, starannie przygotowane, przemyślane, wzajemnie się uzupełniające — a w sumie: dwa dni prawdziwie świątecznego programu, który ze wszech miar zasługiwał na obejrzenie, nie znużył, ani nie znużył, przeciwnie — przyniósł duże zadowolenie, no i te, powyższe słowa wdzięczności adresowane telewizji oraz prośbę — aby program był dalej taki jak ten „od święta”.

Każdy znalazł w tym programie swój ulubiony typ audycji — amatorzy teledzięków otrzymali emocjonującą „Licytację”, kinomani — pięć filmów, w tym dwa młodzieżowe, archiwalna komedia z Filipem i Flapem, kryminał „Ścinający krew w

żyłach” czyli „Tajemniczego pana Malpas”, wreszcie uroczą, przebarwną angielską komedię „Futrząny gang”, w którym i jak zawsze dowcipnym, żywym, inteligentnym „Miksem” przed telewizyjną publicznością przebiegała się prawdziwa rewia gwiazd — Alina Janowska, Kalina Jedrusik, Marta Lipińska, Włodzisław Głinski, Wojciech Siemion; tradycyjnie mieliśmy montaż melodii operetkowych z Katowic (troszeczkę szwankował balet; ale to już drobniutki), oraz komediooperę Wojciecha Bogusławskiego „Wymuszone zezwolenie” — odświeżone, naiwne, lecz w końcu uroczyste widowisko, z bardzo dobrą Jadwigą Barańską w roli pokojówki, z mniej dobrą Zofią Saretok w roli Klaryssy; telewizjom łaknącym strawy duchowej „Estrada Poetycka” przedstawiła „Fantasmagorie” Tadeusza Kuśbika — niezwykle ekspresyjny montaż poetycki, z ciekawym podkładem muzycznym, i wreszcie — ukoronowaniem świątecznej a przede wszystkim lekkiej muzyki telewizyjnej była „Muzyka łatwa, lekka i przyjemna”.

Wydaje mi się, że ostatnią „Muzykę” moglibyśmy bez obaw i bez wstydu eksportować w ramach Interwizji. Z dotychczasowych rozrywkowych programów Interwizyjnych bezprzeczenie najlepszymi okazały się programy NR1; o naszej probie lepiej tu nie wspominać, aby nie popsuć sobie miłego nastroju. „Muzyka” dysponuje wybranymi i — (nie zawsze, ale przeważnie) najlepszymi piosenkami polskimi, zaś na wielki plus ostatniej „Muzyki” należy zapisać imponującą — lecz nie z po-

„OBYWATEL JANOSIK”

Taki tytuł będzie nosił nowy film Andrzeja Kondratiuka realizowany w Studio Małych Form „Se-Ma-For”. Ma to być „tragikomedia fizjologiczna” — według określenia autora. Obywatel Janosik cierpi na bezsenność, a w niezawodnej terapii liczenia baranów przeszkadza mu wyobrażenia, narzucająca niezliczone możliwości skojarzeń jakże niepokojących!... Na cóż więc się zdadzą termofory, szlafmyca i higieniczny tryb życia?...

W roli Janosika ujrzymy Henryka Kluba, zaś jako niepokojący produkt wyobraźni wystąpi pod pięcioma postaciami — Michał Żolnierkiewicz. Obaj znani z oryginalnych ról w „Saskach” Polańskiego i Kondratiuka.

Scenografia — Jerzy Skarżyński. Zdjęcia — Kurt Weber. Muzyka K. Komeda. Warto obejrzeć! Może w telewizji? H.K.



POLECAMY AUDYCJE

Czwartek zapowiada się w telewizji „na poważnie” — nie ma dziś „Kobry”, ani filmu sensacyjnego. Jednym słowem — czwartek niecypowy. Z dzisiejszych audycji zwracamy uwagę na program publicystyczny Andrzeja Kamińskiego „Listy z ciemności” (godz. 18.35). Będzie on transmitowany z terenu dawnego obozu oświęcimskiego. Andrzej Kamiński co swego programu zamierza wykorzystać listy więźniów oświęcimskich, które zostały znalezione w ubiegłym roku w ruinach krematorium.

Piątek przynosi nam cztery programy, zasługujące na uwagę. „Obalony mur” — dokumentalny program Karola Lubelczyka (godz. 18.40) poświęcony powstaniu w getcie warszawskim. Dokument filmowy Lubelczyka opiera się częściowo na oryginalnych zdjęciach, nakreślonych przez hitlerowców podczas walk w getcie. Zdjęcia te zostaną komentowane przez żyjących do dzisiaj, byłych działaczy politycznych i wojskowych, którzy brali udział w akcjach powstania w getcie warszawskim. „Co słychać u Elliota” — trzeci program z cyklu: „Ciekawostki matematyczne” o godzinie 18.30. „Elliot” jest najmłodsze dziełem z cyklu „Ciekawostki matematyczne”, zainstalowana w Katedrze Metod Numerycznych Uniwersytetu Wrocławskiego i zamontowana zostanie nadana bezpośredni raport. O godzinie 20 „Koncert utworów Kodaly’ego i Bartoka z Budapesztu. Złota Kodaly — Wariacje na temat węgierskiej pieśni ludowej „Lećcie pawy” oraz Bela Bartoka — Koncert na orkiestrę. O godz. 21.10 Telewizyjne Studio Literackie przedstawi „Sad” według W. Tendrakowa, w adaptacji telewizyjnej A. Konica. Występują: Ryszard Hanin, Barbara Klimkiewicz, Jadwiga Kurylakówna, Tadeusz Białoszczyński, Edmund Fidler, Andrzej Konic, Józef Nalberczak i inni.

W sobotę, poza stałymi pozycjami, o godz. 20.45 zobaczymy „Nie wszystko o małżeństwie” Stefana Grodzkiego. W krótkim zwierciadle satyry Grodzkiego pokazuje „pożycie” małżeńskie ludzi, których wysiłki obracają się przede wszystkim wokół tego, aby jak najmniej skomplikować drobne i nieważne sprawy. A oto obsada: Ona — Danuta Szafarska, On — Andrzej Szczepkowski, Konferansjer — Kazimierz Rudzki.

W niedzielę, o godz. 16.25 „Koncert muzyki popularnej” z Katowic. Wystąpi Orkiestra Filharmonii Górniczej pod dyrekcją Emila Gielnika. W programie: Kelman, Gershwin, Szostakowicz, Ciażakowicz, Szwed, a o godz. 17.10 program rozrywkowy „Romans pani majstrowej”, czyli obrazek starożytności Wincentego Rapackiego, „Romans pani majstrowej”, to zabawna historia amorości córki szewca i sentymentalnego pana Ryszarda. Wykonawcami będą: Ewa Gąsowska, Hanna Zembruńska, Tadeusz Bartosik, Ryszard Barycz, Aleksander Dzwonkowski. Zyczymy dobrej zabawy.

OBIECANKI-CACANKI

Zbliża się już termin trzeciego Międzynarodowego Konkursu Telewizyjnego w Montreux (Szwajcaria). Odbędzie się on między 29 kwietnia a 5 maja. Jest to najpoważniejsza tego rodzaju impreza obok Prix Italia. Szwajcarzy dokładają starań, aby tegoroczny konkurs rozbudować do wymiarów wielkich festiwali filmowych. Stąd projektuje się udział szerokiej rzeszy publiczności oraz zlot gwiazd telewizyjnych, które są wykonawcami poszczególnych programów. Nie wiadomo jeszcze czy Konkurs roku bieżącego odbędzie się w Pałacu Telewizji, specjalnie budowanym w tym celu w Montreux.

Mija prawie rok od drugiego Konkursu w Montreux. Brały w nim udział organizacje telewizyjne z dwudziestu krajów, które zaprezentowały dwadzieścia trzy widowiska rozrywkowe. Telewizja polska nie odegrała niestety poważniejszej roli na tym konkursie. Ale nie będę się tutaj rozchodził nad przyczyny naszej ubiegłorocznej porażki w Montreux. Niedługo, bo 27 maja minie rok od czasu ukazania się na łamach „Radia i Telewizji” artykułu prezesa do spraw Radia i Telewizji Włodzisława Sokorskiego pt.

„Montreux”. Pozwolę sobie zacytować w tym miejscu końcowy fragment artykułu: — „Z festiwalu w Montreux mamy zamiar i w tym roku pokazać pierwszą i drugą nagrodę, a więc oba „varieté”, zaprezentowane przez telewizję: szwedzką i czeskosłowacką, poza tym chcemy zakupić niektóre bardziej wyróżniające się programy, a więc filmy kanadyjski, francuski, angielski i amerykański oraz stosunkowo ciekawe, chociaż dyskusyjne audycje zaprezentowane przez telewizję włoską, węgierską i japońską. Sądzę, że i dla naszych słuchaczy będą to programy atrakcyjne, a nam ułatwią rozwiązanie trudnego problemu własnego „varieté” w polskiej telewizji”. Tak więc mija rok od czasu, gdy prezes Sokorski obiecał pokazać naszym telewidzom dziewięć nagrodzonych, wyróżnionych i najeleńszych programów z Konkursu w Montreux. Obietnice obietnicami, a fakt pozostaje faktem, że do tej pory nie ujrzelśmy ani jednej z wyżej wymienionych pozycji festiwalowych. Polski telewidz nie widział więc najlepszego programu ubiegłorocznego Konkursu — „Cascade”, za którą to audycję telewizja szwedzka otrzymała „Złotą Różę”

(pierwsza nagroda). Chciałbym przypomnieć, że główną rolę w tym programie grała Eartha Kitt. Nie gościł na naszych małych ekranach świetny program telewizji czeskosłowackiej „Stracona rewia” („Srebrna Róża i Nagroda Prasy). Nie dotarł do nas obiecany spektakl „Big Band Concert” (BBC — wyróżnienie), gdzie doskonale zgrano elementy dźwiękowe z wizualnymi. Czwartym obiecany i wyróżniony w Montreux programem był „Judy Garland Show” (CBS — USA), wart obejrzenia ze względu na umiejętnie wykorzystane elementy emocjonalne, pozwalające na nawiązanie bezpośredniego kontaktu artystów z widzami. Piątym wymienionym przez prezesa Sokorskiego programem to „Do re mi” (RTF — Francja), zwracający uwagę jednolitym artystycznie scenariuszem, jak również walorami widowiskowymi w dziedzinie wymiany międzynarodowej. Szóstym zapowiadany programem był wyróżniony program jazzowy telewizji kanadyjskiej, który zobaczylibyśmy z tym większym zainteresowaniem, że jazz w naszej telewizji jest zupełnie nieeksploatowany. Stosunkowo ciekawych, chociaż dyskusyjnych audycji pokazanych

w Montreux przez Włochy, Węgry i Japonię, również nie ujrzało oko polskiego telewidza. Dlatego na kpinę wygląda zdanie, że i „dla naszych słuchaczy będą to programy atrakcyjne”. Poniżej nie dokonano zakupu żadnego z zapowiadanych przez prezesa Sokorskiego programów, więc nie mogły one „ułatwić nawiązania trudnego problemu „varieté” w polskiej telewizji”. Być może, że w jakimś stopniu wpłynęło to na wyraźne ograniczenie programów rozrywkowych naszej telewizji w stosunku do roku ubiegłego. Te zaś, które zmuszeni jesteśmy (z braku innych) oglądać, są najczęściej na bardzo słabym poziomie (np. pokazany z Katowic w dniu 7.IV. program „Cyrkowy wóz”).

Za miesiąc będzie już po tegorocznym Konkursie w Montreux. Trudno będzie już teraz wierzyć w pokonkursowe obietnice. A może byłoby roztropniej nie obiecywać pokazania w naszej telewizji nagrodzonych w Montreux programów, aby ewentualna późniejsza prezentacja tych audycji była miłą niespodzianką dla naszych telewidzów.

TADEUSZ WIĄCEK



Krystyna Sienkiewicz w piosence „Pozytywka”
Fot. Z. Krajewski

„BALBINA“

Taką nazwę obrał sobie nowo powstały klub studencki przy ul. Lumumby. W powstaniu „Balbiny” nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że nareszcie osiedle studenckie przy ul. Lumumby doczekało się Klubu z prawdziwego zdarzenia. W tym miejscu należy przypomnieć, że mieszka tam około 3,5 tysiąca studentów. Pomieszczenie znalazła „Balbina” w żeńskim Domu Akademickim Uniwersytetu Łódzkiego. Dawna „Świeżka”, gdzie schronienia do późnych godzin wieczornych szukały studenckie pary (nie kwapiące się oczywiście z zapaleniem światła w długie wieczory zimowe), zmieniła się nie do poznania. Kosztom około 15 tys. złotych odnowiono salę, która w chwili obecnej nabrała przyjemnego, nowoczesnego wyglądu. Jednak nie od samego lokalu zależy jest w głównej mierze wypoczynek i dobra rozrywka. Dba o to Rada Klubu rekrutująca się przeważnie ze studentek filologii polskiej. Od nich właśnie wyszła inicjatywa założenia „Balbiny”. Obecnie codziennie (oprócz piątków) między 17 a 22 studenci mogą tu grać w brydża, szachy, warcaby itp.; słuchać i tańczyć przy mgniefonie, radiu bądź adapterze oraz napić się naprawdę dobrej kawy. Na tym bynajmniej nie kończy się działalność „Balbiny”, która organizuje również prelekcje i odczyty, a poza tym powołała do życia własny zespół, który zdążył już wystąpić z premierą pt. „Antyliteratura”. Program przygotował student filologii Marian Glinkowski, a złożyły się na niego fragmenty tekstów z powieści Barbary Gordon, Zofii Bystrzyckiej i innych. Dostało się również łódzkiemu „Expressowi” za powieść rysunkową „Postrach Wenecji”. Dużo dobrze wykonywanych piosenek uzupełnia ten naprawdę dowcipny program. Obecnie zespół „Balbiny” przygotowuje już drugą premierę pod roboczym tytułem „Małe miasteczko”. Sądząc po „Antyliteraturze” można się spodziewać programu sto jacego na poziomie, którego życzylibyśmy wielu zespołom studenckim.

Jak widać z powyższego „manila klubów” przy nosła na osiedlu przy ul. Lumumby na spójrzanie dobre rezultaty. No cóż, można jeszcze otwarcie dodać, że po „chandrze Bystrzyckiej” pozostało już tylko bardzo mgliste wspomnienie.

WĄSKIE GARDŁO

Wbrew temu, co można by sądzić na oko, wcale tak dobrze nie wyglądamy, jeśli chodzi o pracowników nauki. Mieliliśmy ich w roku 1962 — około 27 tys., ale pracowników samodzielnych, tj. profesorów i docentów — tylko 3.202. Brakuje około tysiąca.

W Łodzi także nie jest najlepiej. 43 katedry nie posiadają w ogóle kierowników naukowych. W Politechnice Łódzkiej są to takie katedry jak np. — Fizyki Technicznej, Technologii Kauczuku i Gumi, Chemii Ogólnej, czy Konstrukcji Stalowych. W Uniwersytecie — katedry Logiki, Fizyki Teoretycznej, Filologii Rosyjskiej. W Akademii Medycznej — katedry Fizyki, Chemii Ogólnej i Fizjologicznej, Bakteriologii, Fizjologii, ale to przecież nie wszystko.

Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja na naszych instytutach naukowych przemysłu. Mamy ich w Łodzi 6, osiągnięcia — owszem, godne uwagi, cenne i użyteczne. W tych instytutach resortowych pracuje 37 pracowników naukowych na kierowniczych stanowiskach, ale

tylko 13 posiada tytuły profesorów i docentów, jeszcze mniej, bo ledwie 5 uzyskało tytuł doktora. Spośród 361 pomocniczych pracowników nauki w instytutach niepoł. jako mało, gdyż tylko 19 posiada tytuł doktora, poważny procent nie uzyskało jeszcze nawet magisterium.

Dlaczego tak się dzieje? Nigdy w takich wypadkach nie może być jednej przyczyny, trudno — z podać wszystkie, podamy więc najważniejsze. Po pierwsze — samodzielni pracownicy naukowcy, a więc profesorowie i docenci wcale się tak bardzo nie przejmują kształceniem młodej kadry naukowej. To znaczy — połowa przejmują się, a połowa śpi, lub zajmuje się swoją własną sławą. A po drugie — okres stabilizacji młodego pracownika nauki trwa u nas stanowczo zbyt długo, przeciętnie 15—18 lat. W praktyce nikt nie może być młodym naukowcem przy tak długim okresie zdobywania ostróg. Trzeba więc, jak to się dzieje w wielu innych krajach, skrócić drogę do stopnia samodzielnego pracownika naukowego do 8 lat.

Łódź
tygodnia

Oł, życie, życie

CHŁOPA PRZENIESLI...

Na Bałutach opowiedziano mi wiele dobrego o pracy tamtejszych opiekunek społecznych, a m. in. o wybijającej się społeczniczce, p. Esterze Popielatej.

P. Estera jest Estonką z pochodzenia, w czasie okupacji poznała w jednym z obozów III Rzeszy Polaka, razem z nim dotrwała do końca wojny a zaraz potem wyszła za niego. Opowiadano mi więc o p. Esterze, bo to podobno kobieta, która — gdy raz weźmie sprawę w swoje ręce — już jej nie popuści. W jednej takiej sprawie wykazała zaś wiele kobiecego sprytu i męskiego uporu.

Oto zdarzyło się, że trzeba było pomóc pewnej młodej małżonce, której mąż właśnie odszedł do wojska. Sytuacja kobiety nie była do pozazdroszczenia: obowiązki młodej matki (dziecko urodziło się przed odejściem męża do wojska) musiała godzić z pracą zawodową, co nie przychodziło jej tak łatwo, była bowiem słaba i schorowana.

Ala że mąż odbywał służbę w Łodzi, więc co tydzień odwiedzał żonę, nie dziwimy się więc, że po jakimś czasie było nowa ciąża...

Opiekunka społeczna postanowiła ratować sytuację. Przede wszystkim zaprowadziła bezradną i chorą kobietę do lekarza, a gdy trzeba było zaopiekować się jej dzieckiem — zabrała je do siebie, rozliczając nad nim zastępczo macierzyńską opiekę. A któregoś dnia wybrała się do „pułku”, w którym lekkomyślny bądź co bądź mąż odbywał służbę. W tym pułku tak długo wyjaśniała całą sytuację, tak długo prosiła majora o przeniesienie żołnierza do innego miasta, aż wreszcie pomogło: wojskowego przeniesiono. Nie miał więc już okazji zbyt często przyjeżdżać do żony i... powodować nowych, trudnych sytuacji w życiu słabej kobiety.

Widzicie więc, jakimi to sprawami muszą się zajmować społeczne opiekunki.

(f)

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW



JANUSZ KLOSIŃSKI — aktor i dyrektor artystyczny Teatru 7.15. W roku 1945 ukończył Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej pod dyktando A. Zelwerowicza. W roku 1948 uzyskuje dyplom PWST w Warszawie pod kierownictwem L. Schillera. Debiutuje w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi. Należy do grupy młodych aktorów i reżyserów założycieli Teatru Nowego. Dziesięć lat pracuje w tymże teatrze (za dyktando K. Dejmkę), zaś od trzech lat zajmuje stanowisko kierownika artystycznego Teatru 7.15. Pamiętamy wszyscy tego wybitnego aktora w rolach: Kupiec — „Piotr Pathelin”, Tatar — „Na dnie” Gorkiego, Pobiedonosikow — „Łaźnia” Majakowskiego, K. Iwanowicz — „Poemat pedagogiczny” Makarenki, Arnolf — „Szkoła żon” Moliere, Sokrates — „Obrona Ksantypy”.

Obecnie kreuje on rolę Andrewina Benetta w sztuce Artura Watkyna „Człowiek, który przyszedł w piątek” (na zdjęciu). Znamy go również z wielu ról w telewizji i w filmie.

Tekst i foto GERARD PUCIATO

Tragedia w „Motozbycie“

Wczesnym rankiem stwierdził, że w nocy ktoś stłukł szkiełko w tylnej lampie jego „Syreny”. Czekając go daleka droga — więc w porze otwierania sklepów pojechał do sklepu „Motozbytu” przy ul. Północnej.

„Remanent” — przeczytał. Remanent — wiadomo — w Motozbycie potrafi trwać cały miesiąc. Spytał więc bardzo uprzejmie, czy w innym sklepie „Motozbytu” nie mógłby dostać szkiełka do tylnej lampy.

— Nie — odpowiedziano mu. W całej Łodzi i w całym województwie łódzkim, tylko jeden sklep „Motozby-

tu” sprzedaje części do „Syreny”. Zresztą samego szkiełka i tak pan u nas nie kupi tylko trzeba nabyć od razu całą tylną lampę za 150 złotych. O czym tu zresztą gadać, tak czy inaczej pan nie kupi, remanent, a u nas on trwać może cały miesiąc.

Stał smutny przed „Motozbytem” na Północnej, aż zlitował się nad nim jakiś przechodzień i poinformował go, że na Placu Wolności znajduje się mały prywatny sklepik z częściami do samochodów. Poszedł tam, zapytał o tylną lampę do „Syreny”.

— Czy potrzebna panu ca-

ła tylna lampka? — zapytano go.

— Nie, tylko szkiełko.

— Proszę uprzejmie, oto jest szkiełko. Cena 40 złotych.

O mało nie ucałował ekspedientki w małym prywatnym sklepiku.

A nam nasunęło się kilka pytań. 1. Jak to się dzieje, że choć po ulicach Łodzi i województwa jeżdżą tyle samochodów marki „Syrena”, będzie ich jeździć coraz więcej, tylko jeden sklep „Motozbytu” sprzedaje do nich części. A skoro w tym sklepie jest remanent, lub przyjeżdża towaru, użytkownicy mają na długi czas unieruchomione wozy. 2. Jak to się dzieje, że w prywatnym sklepiku można kupić tylko same szkiełko za 40 zł a w państwowym sklepie trzeba od razu nabyć całą lampę za 150 zł?

KOMUNIKAT

100 ROCZNICA URODZIN
K. S. STANISŁAWSKIEGO
W TEATRZE
IM. STEFANA JARACZA

Z okazji setnej rocznicy urodzin założyciela i twórcy MCHAT'u, K. S. Stanisławskiego, Teatr im. Stefana Jaracza urządza w swoim foyer Wystawę Fotomontażową, której ekspozycją — zdjęcia, plansze, reprodukcje plakatów i szkiców inscenizacyjnych — ilustrują twórczość teatralną wielkiego odnowiciela sceny rosyjskiej i radzieckiej. Oddzielna sekcja Wystawy jest poświęcona tym sztukom z repertuaru MCHAT'u, które ukazywały się na scenie Teatru im. Jaracza w okresie 1945—1962.

Inauguracja Wystawy odbędzie się w foyer Teatru dnia 17 kwietnia br. o godz. 14.15.



HEINE-MELINA

W pewnym sezonie w Teatrze Kameralnym w Łodzi, występował pod dyktando Bolesława Gorczyńskiego świetny aktor Michał Melina. Zdarzało mu się, że przed premierą wypijał kilka głojszych dla wigoru. Sufferem w tym czasie, zresztą żyjącym do dziś dnia, był p. Heine. W pewnym momencie sufler zauważył, że Melina udaje że gra, lecz nie słyhać jego głosu. Wówczas Heine dla ratowania sytuacji sam z budki suflera odczytywał kwestie roli. Publiczność nie nie zauważyła i przedstawienie jakoś do-

brnęło do szczęśliwego końca. Odtąd wypadek ten w kronikach teatru łódzkiego odnotowano jako chorobę Heine-Melina.

PIERWSZY CZŁOWIEK

Rzecz dzieje się przed 60 laty na lekcji religii w szkole łódzkiej.

Ksiądz: Kowalski, powiedz mi kto był pierwszym człowiekiem na świecie.

Kowalski: Siebeneichen. Ksiądz: Siebeneichen, czy aby się nie mylisz?

Kowalski: Nie proszę księdza. Wszak na Piotrkowskiej istnieje firma „Adam” dawniej Siebeneichen.

NA EGZAMINIE

W szkole muzycznej Kijewskiej na egzaminie z historii muzyki profesor zadaje pytanie kandydatce na absolwentkę.

— Ile Beethoven napisał symfonii?

— Trzy.

— Czy aby się pani nie myli?

— Ależ skąd. Wiem na pewno... „Eroike”, „Pastoralna” i „Dziwota”.

Redaguje Zespół • Wydawca „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” • Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 344-79 • Warunki prenumeraty miesięcznie 2 zł., kwartalnie 12 zł. • Redakcja nie zamawia reprintsów nie wraca • Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz POK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłoszy” • Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 • Zam. 1348, IV, 63. K-4